Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

PRZYCZYNEK DO SPRAWY BRZOZOWSKIEGO: NIEZNANA BROSZURA BAKAJA

WIADOMOŚCI LITERACKIE

Cena 80 groszy

TYGODNIK

Oddział „Wiadomości Literackich" w Paryżu, 123, boul St. Germain, Księgarnia Gebethnera i Wolffa

Cena numeru w Paryżu zł. 1.—

Nr. 41 (197) Warszawa, Niedziela 9 października 1927 r. Rok IV

RELIGJA KONJUNKTURY POLITYCZNEJ

ATEISTYCZNY KATOLICYZM MAURRASA—ANKIETA VAUSSARDA—GŁOSY POLSKIE

Potępienie nacjonalizmu francuskiego przez Watykan było komentowane przeróżnie, nawet zakulisowemi stosunkami watykańsko-rojalistycznemi. Przeoczono fakt niesłychanie prosty, że nacjonalizm sam przez się jest przecie wojującym partykularyzmem, który przeczy idei monarchji uniwersalnej proklamowanej przez Grzegorza VII. Sprawa komplikuje się grubo, gdy nacjonalizm do swojej gry politycznej wciąga katolicyzm specjalnie przez siebie spreparowany. Katolicyzm Maurrasa został tak dziwnie przystosowany do potrzeb wojującego nacjonalizmu, tak odsemityzowany i zromanizowany, że ta gwałtowna romanizacja przerazić musiała... Romę.

Maurras, twórca tego katolicyzmu czy też jego odważny wyraziciel, należy do ludzi wielkich zdolności i do przedstawicieli tej „Herrenmoral", która nie lęka się paradoksu i nie troszczy o logikę dziejów i moralność powszednią. Racjonalista do szpiku kości, żywiołowo nienawidzi romantyzmu i rojalizm swój — jakże romantyczny! — buduje na wnioskach logicznych wysnutych z precyzyjnych przesłanek. Kocha antyczny Rzym, bo kocha siłę rozumnego, celowego nakazu, ustawy, mocy dyktatorskiej.

Stając w obronie religji przeciw jej rzeczywistym czy domniemanym wrogom, odrzuca wszystko co w religji jest istotnie religijne. Z instynktu antysemita, gardzi Biblją, a katolicyzm ceni sobie jako tę postać chrześcijaństwa, która obcemi zapożyczeniami kultycznemi wyparła pierwiastek żydowski z religji chrześcijańskiej. Jest uniwersalistą, i dlatego idea rzymska monarchji uniwersalnej jest mu droga i bliska. Nie chce dostrzegać paradoksalności swojej postawy, która na tle uwielbienia uniwersalizmu jest przecie nacjonalistycznie partykularna.

Jezus i apostołowie jako Żydzi, wywodzący się duchowo ze Starego Testamentu, budzą w nim odrazę zarówno swojem pochodzeniem jak i swoim irracjonalizmem. Maurras czuje po rzymsko-katolicku w sensie Rzymu antycznego, cezarowskiego i jego panowania powszechnego. Rzym papieski jest dla niego widomym, realnym znakiem trwania tradycji Rzymu antycznego, kolegjum kardynalskie — to senat, corpus juris canonici — to ustawy. Rzym jest mu drogi i z tej jeszcze racji, że — podobnie jak on — nienawidzi liberalizmu i indywidualizmu w jakiejkolwiek postaci.

Jednocześnie Maurras jest gorącym patrjotą francuskim. Dogmatem jego wiary politycznej jest król i kościół. Oczywiście nie ten Kościół, który spowiada, rozgrzesza i zbawia, udziela sakramentów i uczy ujarzmiać popędy grzesznego ciała. Kościół obchodzi go wyłącznie jako dyscyplina społeczno-polityczna. „La chiesa non è un credo, la chiesa è una disciplina" — powiedział przy pewnej sposobności kierowniczy teolog watykański do znakomitego uczonego niemieckiego. O taką dyscyplinę chodzi Maurrasowi, o dyscyplinę niwelującą indywidualizmy, wypleniającą z korzeniem wichrzycielskie romantyzmy i liberalizmy, a trzymającą tłumy w posłuchu dla władz.

Maurras jest zarazem człowiekiem do gruntu prawym, szczerym, prawdomównym. Jasno i wyraźnie wypowiadał się, że religię katolicką uważa za przeżytek, z którym człowiek współczesny nie ma już nic wspólnego. Jest ona dobra tylko o tyle, o ile służy pewnym celom realnym przez ujarzmianie i kiełzanie miljonowych rzesz. Taka jest geneza ateistycznego katolicyzmu Maurrasa. Dość długo spoglądano na ten paradoksalny katolicyzm przez palce, ale ostatecznie potępienie przyjść musiało. Polityka nacjonalistyczna znalazła się na indeksie.

Ciekawy jest fragment przedhistorji tego potępienia. Wychodzi w Belgji „Revue Catholique des Idées et des Faits". Pismo to oświadczyło przed paru laty jasno i lapidarnie, że nacjonalizm zostanie potępiony jako najnowsza herezja. Myśl ta zaintrygowała wielu działaczy katolickich, a jeden z nich, Maurice Vaussard, rozpisał ankietę na temat, co należy sądzić o nacjonalizmie wogóle i o jego wpływie na moralność w szczególności. Z pytaniami temi zwrócił się do wybitnych duchownych, działaczy i uczonych katolickich całego świata. Na sto sześćdziesiąt kwestjonarjuszy otrzymał odpowiedzi sześćdziesiąt. Zebrane w pokaźny tom (413 stronic), są one ciekawym dokumentem chwili. O nacjonalizmie wypowiadają się tu arcybiskupi, biskupi, filozofowie, teologowie, prawnicy, ekonomiści, pisarze (śród nich F. W. Foerster, Don Luigi Sturzo, twórca włoskiej partji „popolarów", hr. Apponyi, polityk węgierski, Ernest Seillière z Instytutu Francuskiego, O. J. Woroniecki, prof. M. Zdziechowski, Fr. Potocki...). Z rzadką jednomyślnością ludzie ci występują przeciwko nacjonalizmowi jako imperjalizmowi zakłócającemu pokój świata. Niektórzy wyrażają żal, iż Rzym nie zapobiegł obecnej partykularyzacji świata przez radykalną uniwersalizację wtedy, gdy było to dla niego możliwe. Seillière widzi źródło wszystkich nacjonalizmów w pangermanizmie i uważa iż „trzeba żałować, że Rzym chrześcijański nie mógł w swoim czasie z łaciny uczynić języka uniwersalnego, bo postęp taki byłby się okazał bardzo korzystny dla stopniowego wytępienia nacjonalizmu w tem, co w nim jest niebezpiecznego dla szczęścia ludzkości".

W książce tej świat katolicki zgromadził tyle argumentów przeciwko nacjonalizmowi, że teorje nacjonalistów, sprowadzające całe szczęście świata do partykularyzacji ludzkości i do podziału jej na szereg imperjalizmów i szowinizmów, przedstawiają się jak dziecinna uciecha z tego, że w swoim czasie Pan Bóg pomieszał języki budowcom wieży Babel.

Ankieta Vaussarda interesuje nas przedewszystkiem dlatego, że zawiera kilka odpowiedzi Polaków. Na ankietę nie odpowiedzieli: arcybiskup krakowski Sapieha, ks. Wójcicki z uniwersytetu lubelskiego, Stanisław Grabski i Stanisław Stroński. Odpowiedzieli: O. J. Woroniecki, profesor uniwersytetu lubelskiego, prof. Żółtowski z Poznania prof. Halecki z Warszawy, prof. Zdziechowski z Wilna i Fr. Potocki z Krakowa.

Odpowiedź O. Woronieckiego jest rzeczowa, jasna, wyrazista; z punktu widzenia moralności chrześcijańskiej nacjonalizm musi być potępiony. O. Woroniecki nie potępia patrjotyzmu, ale te postaci nacjonalizmu i szowinizmu, dla których miłość własnego kraju odzwierciadla się jedynie w nienawiści krajów i narodów obcych i dla których pełnia życia politycznego rodzi się dopiero w ucisku słabszych. Profesorowie Halecki i Żółtowski uzasadniają mniej lub więcej zasadniczo prawa nacjonalizmu obronnego wobec nacjonalizmów napastniczych.

Prof. Zdziechowski zajmuje stanowisko osobliwe, broniąc pierwszeństwa państwa przed narodem. M. in. powiada: „Idąc pod sztandarem demokracji nacjonalizm skusił naiwnego doktrynera imieniem Wilson i podyktował mu sławne 14 paragrafów, które pod pretekstem pokoju i sprawiedliwości nie miały innego celu, jak to dziś widzimy, niż zniszczyć i rozczłonkować Austro-Węgry, aby osłabić w ten sposób Niemcy i usunąć z rynków świata ich konkurencję, groźną dla przemysłu anglosaskiego. Nowa era, wspaniale zapowiedziana przez Wilsona, przyniosła nam na kongresie wersalskim nie rozstrzygnięcie sprawy narodowościowej, ale jej odwrócenie: ci, co byli u dołu, znaleźli się u góry—i vice-versa; zniknięcie Austro-Węgier nietylko że nie ułagodziło nienawiści, ale jeszcze ją podnieciło. Z drugiej strony widzimy powstawanie narodowości, rodzących się na trupie dawnej Rosji... „Profesor Zdziechowski daje bezwzględne pierwszeństwo państwu przed narodem i po długich wywodach przychodzi do wniosku, że „prosty rozsądek wymagałby bratniego wysiłku narodów, wyprawy krzyżowej przeciwko szatańskiej zasadzie uosobionej w bolszewizmie. Niemcy, Węgrzy, Polacy byliby powołani do utworzenia nowego „antemurale Christianitatis" przeciwko ofensywie wroga chrześcijaństwa. Ale widzimy, że Węgry zostały poświęcone pożądaniom ich sąsiadów i pozbawione wspólnej granicy z Polską — a Polska pozbawiona w konsekwencji koniecznej pomocy w razie nowego najazdu barbarzyńskiego; z drugiej strony traktat wersalski stworzył przepaść nieprzebytą między Polską a Niemcami, i Niemcy skutkiem konfliktu swego z Francją muszą szukać oparcia w nienaturalnym sojuszu z Rosją sowiecką, torują drogę hegemonji mongolskiej..."

Prof. Zdziechowski nie uznaje więc zasady narodowościowej i uważa, że Węgrom należało zostawić Słowaków, Rumunów i Rusinów a także miljony Chorwatów do dalszego gwałtownego wynaradawiania. Ponieważ przepaść między Polską a Niemcami powstała skutkiem odebrania Niemcom ziem polskich, trudno wyobrazić sobie, jak prof. Zdziechowski przedstawia sobie zasypanie przepaści stworzonej przez traktat wersalski. Dla ułagodzenia Niemiec nie można im chyba oddać Polski zachodniej. Nie mówi też prof. Zdziechowski, jak ma powstać nowe przedmurze chrześcijaństwa złożone koniecznie z Polski, Niemiec i Węgier.

Bardzo do rzeczy i w logicznym związku z pytaniami ankiety odpowiedział Fr. Potocki z „Czasu" krakowskiego. Traktując nacjonalizm z katolickiego punktu widzenia, wskazał na fakt, że nacjonaliści, zasłaniając się religją, nadużywają kościoła katolickiego do swoich celów partyjnych, przyczem niejednokrotnie nie kryją się wcale ze swoim ateizmem. „Doktryna nacjonalizmu maksymalistycznego, jeśli tak go nazwać wolno, — pisze Potocki, — jakkolwiek niezbyt w Polsce rozpowszechniona, ma w niej jednak pewną liczbę zwolenników żarliwych; na masy wszakże nie działa bynajmniej ich doktryna. Dzisiaj przeważnie oddziaływa na opinję publiczną przekonanie, że w kraju istnieje jedna i jedyna partja, będąca wyłączną i prawdziwą przedstawicielką interesów narodowych, a mianowicie partja zwana narodową. Sprowadza to następstwa fatalne: idea ładu, idea narodowa, nawet idea ojczyzny, utożsamiona została w opinji publicznej z pewną partją. Wszyscy co nie chcą do niej należeć, przynajmniej nominalnie, zaliczani są w czambuł do wrogów ojczyzny i podawani pêle mêle razem z komunistami, socjalistami i Żydami w pogardę „patrjotów"...

Co więcej: utożsamiając siebie z ojczyzną, nacjonaliści nasi umieli utożsamić siebie wbrew rzeczywistości z katolicyzmem. Większość laików a nawet część kleru dała się wziąć na to. Katolicyzm w Polsce w czasie rozbiorów był jednym z najpotężniejszych czynników obrony narodowej. Był nim tak dalece, że zaczęto go mieszać z ideą patrjotyzmu: słowa „Polak" i „katolik" stały się jakby synonimami, szczególniej w dawnym zaborze rosyjskim, gdzie dość często widywano wolnomyślicieli budujących kościoły i notorycznych ateuszów, chodzących pobożnie na mszę niedzielną. Ten stan rzeczy nie zniknął jeszcze całkowicie z obyczajów, a nasi nacjonaliści umieli go wyzyskać dla siebie. Korzystając z tego, że katolicyzm w opinji publicznej utożsamia się z ideą narodową, której jednymi depozytarjuszami nacjonaliści nazywali siebie, zaczęli utożsamiać siebie z nim — i to tak dobrze, że ostatecznie wszyscy im uwierzyli. Formuła „katolik to Polak", przemieniła się powoli w formułę „katolik to nacjonalista". Faktycznie katolicyzm stał się rodzajem przybudówki nacjonalistycznej i jednem z najpotężniejszych narzędzi panowania. Jaskrawy dowód tego widziano podczas ostatnich wyborów (1922) i podczas wypadków, które doprowadziły do zamordowania G. Narutowicza, wybranego na prezydenta Rzeczypospolitej przeciw zblokowanym partjom narodowym. W czasie wyborów ci, co głosowali przeciw kandydatom nacjonalistów, zostali automatycznie zaliczeni do wrogów kościoła natomiast morderca prezydenta był sławiony niemal jako zbawca. Zamęt w umysłach zaszedł tak daleko, że po wykonaniu kary śmierci, na którą morderca prezydenta został był skazany, zamawiano nabożeństwa na jego intencję; widziano też przedstawicieli kleru biorących udział w gloryfikacji pośmiertnej, którą usiłowano otoczyć pamięć mordercy..."

Potocki, odpowiadając na postawione pytania, wypowiada się, że zdaniem jego nie byłoby nic dziwnego, gdyby nacjonalizm został potępiony jako najnowsza herezja, wprowadzająca zamęt w życie świata.

Ankieta Vaussarda jest ciekawym dokumentem do przedhistorji pierwszego potępienia nacjonalizmu przez Watykan. U nas wysocy przedstawiciele kościoła wszczynają krytyczne oświetlanie nacjonalizmu i jego usiłowań przysposobienia sobie katolicyzmu do swoich celów polityczno-społecznych. Niedawno temu arcybiskup Ropp wystąpił w wileńskiem „Słowie" przeciw „antykatolickim tezom Dmowskiego". Podobnie zaczynało się we Francji. Wystąpienie arcybiskupa Roppa nie jest ani pierwsze tego rodzaju ani z pewnością ostatnie. Teorja, która jednym szowinizmem chce zabić wszystkie inne szowinizmy, budzi zainteresowanie jako objaw patologiczny i wywołuje korektywy ze strony najbardziej do tego powołanej.

Paweł Hulka-Laskowski.

STEFAN NAPIERSKI
ODJAZD
CENA zł. 3.—
Księgarnia F. Hoesicka

PIĘKNO POPRAWNOŚCI W MOWIE

Jak rząd poparł projekt Lindego

Za dawnych, bardzo dawnych czasów kwitła w Polsce najszlachetniejsza z sztuk, a może lepiej powiedzmy, umiejętność piękna: krasomówstwo. Teraz o mówcę w Polsce trudniej, niż o złoto w poleskiem błotku. Na palcach jednej ręki można wyliczyć ludzi, których się słucha z rozkoszą estetyczną. Brak u nas kultu mowy ojczystej, brak zrozumienia dla piękności słowa. A krasomówstwo dlatego nazwałem tak szlachetnem, że jego podstawą główną jest nie co innego, jeno poprawność, używanie w każdym przypadku tego zwrotu i tego wyrazu, który najściślej myśl naszą oddaje. Czy to będzie mowa prosta, czy wyszukana, czy wdzięczna tylko, czy przepychem tchnąca — zawsze warunkiem, aby była piękna, będzie właściwy dobór słów i zwrotów, bo on tylko zapewnia jasność i dobitność wywodów, wyrazistość obrazów, chociażby były najbardziej złożone.

A słowo pisane, a literatura, nauka i publicystyka? Strach, jakiego tworzywa nie wstydzą się imać nawet powszechnie uznani styliści polscy. Piękno ich słowa polega raczej na wzniosłości uczuć, jakie przebijają przez szatę nieraz wprost nędzną. Czytanie dzieł naukowych bywa męką, nie bacząc na treść bardzo ciekawą,— tak niezdarnie jest podana. O dziennikarstwie szkoda mówić. Czołowi publicyści rzadko piszą starannie, wzmiankarze wprost plugawo.

Żeby mówić i pisać dobrze, a więc pięknie, trzeba swój język znać. Nietylko przez osłuchanie się i oczytanie. Przedewszystkiem przez przemyślenie, przez zastanawianie się nad logiką zwrotów, nad ścisłem znaczeniem wyrazów, jakie się nasuwają. A w razach wątpliwych trzeba się radzić słownika, który wykłada pochodzenie i znaczenie słów, przytacza, jak były użyte przez wzorowych pisarzy.

Nie dziwna, że narody przodujące w krasomówstwie przodują też w pilności około posiadania takiego słownika. Sławni są Francuzi z umiłowania piękności swojej mowy, z najprzedniejszego nią władania, z mówców, którzy zachwycają świat, z pisarzy, których czyta kula ziemska, sławni są podbojem, jakiego ich mowa dokonała we wszystkich krajach. Zarazem sławni są ze słownika, który układają z staraniem, nabożeństwu równem, najprzedniejsi z pośród nich.

Polska — wydała język, o którym mistrz jego powiedział słusznie, że mowie dawnych Hellenów jest chyba równy, ale od dłuższego czasu nie chce nad nim pracować, nie chce dbać o niego, nie chce znać wyników pracy nad nim językoznawców. To też krzewi się ta mowa bujnie, bo głęboko w przeszłość zapuściła korzenie, bo żywotność ma niewyczerpaną. Ale krzewi się dziko, bezładnie i chwastów żywi ilość niezliczoną, splątanych z własnemi pędami. Podjęta przed laty praca nad nowym słownikiem języka polskiego poszczyciła się w r. 1900 wydaniem pierwszego tomu tego niezbędnego dzieła. Od tego czasu minęło tyle, tyle lat, a jeszcze nie jest skończone. Dlaczego? Bo tak jest mało w Polsce ludzi, którzyby potrzebę jego odczuwali. Toć powinniby nad tym słownikiem pracować wszyscy, kto tylko może przyczynić się do jego ulepszenia. Toć środki na wydanie powinny płynąć zewsząd: od władz i od społeczeństwa. Nie jest tak i stąd zwłoka szkodliwa, zawstydzająca.

Inaczej illo tempore bywało. W czasach, gdy bliżsi byliśmy nieprzerwanej pełni życia narodowego, o ileż większe było dla tej sprawy zrozumienie. Mam oto przed sobą pożółkłe pismo z roku Pańskiego 1811, które dobrze będzie odczytać teraz, po upływie stulecia. Oto jego brzmienie. Komentarza nie potrzebuje.

„Jaśnie Wielmożny Ministrze Skarbu!

Wciąż odbierane dowody, jak od prywatnych, tak też i od osób rządowych, niezwyczajnego zaufania, łaskawie we mnie położonego, co do wydania zbioru mowy ojczystej, pod tytułem „Słownika polskiego", ośmielają mnie do uczynienia JWnemu Ministrowi Skarbu następnego przełożenia:

Wydałem trzy tomy tego słownika, po Wielkiej Nocy wyjdzie tom czwarty, lecz zostają jeszcze do wydania dwa tomy, obejmujące obfite litery *R. S. T.* i *U. W. Z.* Ze strony autora wszystko jest zebrane i przygotowane, lecz fundusz na niesłychanie wielki koszt druku prawie już jest wyczerpany, a na wydanie piątego, cóż dopiero szóstego tomu, niedostateczny. Liczba pojedyńczych prywatnych prenumeratorów przed każdym tomem okazuje się coraz mniejszą; żebym zaś przynajmniej bez szkody mojej (gdy o nadgrodzie kilkunastoletniej mozolnej pracy ani myślić) rzecz tę do końca mógł doprowadzić, trzeba mi jeszcze przynajmniej ośmdziesiąt prenumeratorów. Poważam się zatem JWnemu Ministrowi przełożyć pokorną moją prośbę, żeby wysoką swoją powagą i łaskawem zaleceniem gdzie wypada raczył wesprzeć przedsięwzięcie już tak daleko posunięte. Opieka Jego udzielana naukom, mianowicie ojczystym, jak z jednej strony usprawiedliwia śmiałość mego przełożenia, tak z drugiej dodaje mi otuchy, że ta prośba moja nie zostanie bez skutku, ile że i rząd przeszły, choć nienarodowy, w samych początkach jeszcze tego przedsięwzięcia, przed zaczęciem nawet druku, wydał rozkaz nadworny, tu w kopji i w tłomaczeniu przyłączony, którym zalecił prenumeratę takową wszystkim dykasterjom Prus Wschodnich, Zachodnich, Południowych i Nowowschodnich; rozkaz ten dla nastąpionej wojny w małej tylko części został uskutecznionym. W nadziei, że może wsparcie samych osób prywatnych będzie do dopięcia mego celu dostatecznem przestałem na niem dotąd; lecz przy coraz większem wycieńczeniu funduszu, pozostaje mi jedyna pomoc w rządzie krajowym, gdy albowiem rząd nam obcy dał taki dowód sprzyjania temu zbiorowi mowy naszej ojczystej, śmiało ufność moją pokładać mogę w osobach teraźniejszy rząd narodowy składających, gorliwą starannością o dobro ojczyzny i całkowitem jej poświęceniem się tak znakomitych.

Z najgłębszem uszanowaniem mam honor zostawać Jaśnie Wielmożnego Ministra najniższym sługą.

Samuel Bogumił Linde.

Z Warszawy, dn. 30 marca 1811 r."

List króla pruskiego brzmi w tłumaczeniu Lindego:

„Wielce Uczony, mile nam Wierny!

Poczytuję zamierzone przez Was wydanie słownika języka polskiego, podług przełożonego mi p. d. 30 z. m. przez Was planu, za przedsięwzięcie tak znakomite, że Ja z mojej strony do poparcia jego chętnie przyczynić się umyśliłem. Tym końcem więc na dniu dzisiejszym nakazałem ministrom stanu de Voss, wielkiemu kanclerzowi de Goldbeck, baronowi de Schroetter i de Massow, żeby dykasterjom Prus Wschodnich, Zachodnich, Południowych i Nowowschodnich, majętniejszym szkołom, którym to dziełu może być użytecznem, tudzież tajnemu najwyższemu trybunałowi prenumeratę takową zalecili. Stąd możecie wymiarkować przychylność, z którą uczonej Waszej pracy koło tego dzieła sprzyjam, jako Wasz łaskawy król

Fryderyk Wilhelm.

Z Potsdamu, dn. 16 maja 1811 r."

Na marginesie podania zapisano decyzję:

„Do wszystkich W. Dyrektorów Skarbu w dziesięciu Departamentach.

Minister Skarbu.

Przekonany jest dostatecznie, że światły i gorliwy urzędnik w każdym względzie i okoliczności potrafi usprawiedliwić zaufanie, jakie w nim rząd położył, i że dla dobrego urzędnika nic niema obojętnego — wszędzie on jest pierwszym, w tem co się kraju, co się ojczyzny jego tyczy.

Z pomiędzy dzieł ojczystych wartych największej pochwały liczyć można „Słownik języka polskiego", którego tom czwarty z druku w tych dniach wychodzi. Autor dzieła W. Samuel Bogumił Linde nietylko że żadnej nie rachuje nadgrody, kilkunastoletniej ofiary czasu i zdrowia, ale nawet dla małej liczby subskrybentów przewiduje, że dzieło nie będzie mogło być ukończone, jeżeli przez zapisanie się więcej osób fundusz potrzebny na druk nie zostanie zwiększony.

Tak pracowite i wytrwałe usiłowania autora, przynoszące zaszczyt mowie ojczystej, potrafią być dostatecznie przez WWPana ocenione. W tem przeto zaufaniu Minister Skarbu uprasza WWPana, abyś do zapisania się na liście prenumerujących i radą i przykładem starał się zagrzać i zachęcić publiczność. Miło Mu będzie, gdy uwiadomiony od WWPana o przyjęciu wezwania znajdzie sposobność okazania autorowi, że usiłowania jego nie są bezskuteczne i że są wspierane gorliwie od osób przywiązanych do tego co jest krajowem, a szczególniej kochających mowę ojczystą.

Spodziewa się Minister Skarbu, że WWPan swoim przykładem potrafisz zachęcić nietylko mu podwładnych urzędników, ale też i obywateli prowincji, a przez to dasz nowy dowód przywiązania do tego wszystkiego, co zaszczyt krajowi przynosi.

W Warszawie, dn. 9 kwietnia 1811 r."

Nadto odpowiedź petentowi:

„Do W. Linde, Rektora Liceum Warszawskiego w Warszawie.

Minister Skarbu.

Odebrałem odezwę WWPana względem zachęcenia podwładnych mi urzędników do prenumerowania „Słownika języka polskiego". W tym celu wezwałem dziś dyrektorów skarbu, aby nietylko dali z siebie przykład, ale też innych urzędników i obywateli w prowincjach zachęcili do zapisania się w listę prenumerujących.

Ile miło mi jest usiłowaniu WWPana wspierać, tyle doznam ukontentowania, gdy skutek odpowie moim życzeniom.

W Warszawie, dn. 9 kwietnia 1811 r."

Linde zwrócił się równocześnie do ministra spraw wewnętrznych. Ten załatwił sprawę nieco inaczej, jak widać z jego listu do ministra skarbu.

„Minister Spraw Wewnętrznych.

Odbiera z przykrem uczuciem przełożenie JMP. Linde wystawiające... (streszczone) Minister Spraw Wewnętrznych, nie chcąc dopuścić, aby przez niedostatek funduszu przerwane było dzieło, które ściągnęło podziwienie uczonych cudzoziemców, uważających go słusznie za obejmujące całe plemię sławiańskie, które... stanowić będzie epokę w języku i literaturze krajowej, a przez to wzbudzać powinno wdzięczność i uwielbienie rodaków... przeto Minister Spraw Wewnętrznych jako opiekun nauk ojczystych... polecił... wszystkim prefektom, aby z funduszu ad materialia lub extraordinaria prenumerowali każdy po jednym egzemplarzu słownika polskiego do swoich archiwów, a JWgo Ministra Skarbu ma honor najmocniej upraszać... (żeby wydał analogiczne zarządzenie). Minister Spraw Wewnętrznych wątpić na moment nie może, iż JWny Minister, tyle o wzrost nauk i sławę narodową troskliwy, do wstawienia się jego przychylić raczy...

J. Łuszczewski.

W Warszawie, dn. 8 kwietnia 1811 r."

Czy nie dobre to były czasy, kiedy takie sprawy załatwiane były tak skwapliwie, kiedy wszystkie urzędy posiadały słownik języka polskiego, kiedy urzędnicy mogli przodować w ofiarności... pieniężnej, a wreszcie kiedy król pruski dbał o postęp polszczyzny w Prusiech Wschodnich i Zachodnich?

Józef Siemieński.

Do numeru niniejszego dołączamy dla prenumeratorów „Wiadomości Literackich"

nr. 11—12

Pologne Littéraire

(6 stron)

na który składają się następujące prace:

Otto Forst de Battaglia: Die jüngste polnische Dichtung. Emil Zegadłowicz. — *Juljan Tuwim,* tradotto da *Adolf Speiser:* Socrate danzante. —*Juljan Tuwim,* übersetzt von *Josef Heinz Mischel:* Legenda aurea. — Une enquête de la „Pologne Littéraire". — *Stefanja Zahorska:* La décoration théâtrale polonaise après la guerre. — *Zygmunt St. Klingsland:* L'art de Józef Pankiewicz. — *Antoni Lange:* A propos de Bolesław Leśmian.

Prenumerata „Pologne Littéraire" oddzielnie wynosi wraz z przesyłką zł. 2.—kwartalnie, egzemplarz pojedyńczy groszy 80, administracja: Warszawa, Boduena 1, tel. 223-04, konto w P. K. O. 8.515

Przyczynek do sprawy Brzozowskiego

NIEZNANA BROSZURA BAKAJA[1]

BROSZURA BAKAJA

Znalazłem ciekawą broszurę Bakaja p. t. „O demaskatorach i demaskatorstwie" („O razobłaczitielach i razobłaczitielstwie"), wydaną w Nowym Yorku w r. 1912, poprzedzoną notatką wstępną L. Mienszczikowa (również ex-urzędnika ochrany, współpracownika Brucewa i rewelatora). Mimo że Bakaj ani razu nie wspomina nazwiska Brzozowskiego, broszura godna jest streszczenia, ponieważ usiłuje zapomocą faktów zgnębić doszczętnie Burcewa, obalając jednocześnie niemal wszystkie podstawy oskarżeń Brzozowskiego. Nie staje się to, rzecz prosta, przez sympatję dla Brzozowskiego, jeno przez nienawiść i pogardę dla Burcewa, przez chęć pogrzebania go w oczach opinji jako rewolucjonisty - praktyka.

BAKAJ CONTRA BURCEW

Broszura ma podtytuł „List do Wł. Burcewa", zawiera ich jednak trzy. Pierwsze dwa nie mają dla nas wartości, gdyż zajmują się paryskiemi plotkami o tem, że Bakaj wraz z Mienszczikowem mieli urządzić na Burcewa „zamach", że są jeszcze na usługach ochrany i t. d. Jest to list Bakaja do Burcewa i odpowiedź Burcewa.

Trzeci list, replika Bakaja, obejmująca 52 strony małej ósemki, jest jednem wielkiem oskarżeniem Burcewa.

„Otrzymawszy zupełną wolność[2]) — pisze Bakaj — osiadłem w Petersburgu i począłem często odwiedzać Pana, omawiając podczas długich debat projekty zniszczenia Gierasimowa[3]), departamentu policji i warszawskiego oddziału ochrany. Myślę, że wtedy nie miał już Pan żadnych wątpliwości co do mojej szczerości...

Jednocześnie począłem odsłaniać działalność warszawskiej agentury; ze zrozumiałych powodów nie mogłem opowiedzieć wszystkiego odrazu, ale jednak zakomunikowałem Panu około 20 nazwisk szpiegów. Mówił mi Pan, że wszystkiemi wiadomościami swojemi dzieli się Pan z Polakami.

Nie wiem, kim był ten, komu Pan zakomunikował moje wskazówki co do polskich prowokatorów, ale okazało się później, że osobnik, który otrzymał od Pana informacje skorzystał tylko z tych, które dotyczyły P. P. S. lewicy, co się zaś tyczy pozostałych, jak Bundu, P. P. S. prawicy i t. d., nie uważał za stosowne podzielić się otrzymanemi wskazówkami i zaprzepaścił je".

Wskutek tej niezaradności Burcewa wielu prowokatorów prowadziło dalej morderczą robotę, ale Burcew nie zwracał na to żadnej uwagi, choć takie postępowanie zasługiwało na najostrzejszą naganę. Tymczasem Bakja zajął się czynną (?) pracą rewolucyjną i został aresztowany. W więzieniu rozmyślał nad tem, jak mało skorzystano z jego „wiedzy".

„Nie wiem, z kim Pan się zadawał, ale faktem jest, *że najwidoczniej cenne wskazówki nie zostały wyzyskane w swoim czasie, i jednym z winnych tego niedopatrzenia, za które tylu rewolucjonistów zapłaciło męczarniami i życiem, jest Pan.* Podkreślam to specjalnie z tego względu, że jeżeli nie uważa Pan siebie za winnego, to należy wskazać prawdziwych winowajców.

Wreszcie, będąc w więzieniu etapowem, posłałem Panu jeszcze jedną *listę prowokatorów,* ale, o ile mi wiadomo, *i te informacje nie zostały wyzyskane należycie,* i szpiegowie mieli możność kontynuowania swej destrukcyjnej roboty aż do mojego wyjazdu zagranicę".

Następuje ucieczka Bakaja.

„Przed moim wyjazdem do Szwecji prosił mnie Pan o zrobienie krótkiej listy tych prowokatorów, których znałem w Warszawie. Warunki i pośpiech, a także oczekiwanie lada chwila aresztu w Wyborgu, nie mogły przyczynić się do szczegółowego opracowania listy. Materjałów pod ręką nie miałem i musiałem pisać z pamięci. Ponieważ powiedział mi Pan, iż lista ta nie zostanie wydrukowana nie dbałem oczywiście o szczegóły, i wymieniłem takie osoby, które jedynie próbowały wstąpić w stosunki z ochraną lub też mało były mi znane. Ogółem zanotowałem 53 osoby, a niektóre pamiętałem tylko z nazwiska. Ufając Panu całkowicie, byłem głęboko przekonany, że wszystko to jest przeznaczone dla prywatnego użytku, w przeciwnym bowiem razie nie dałbym tej listy, lub nie dbając o niebezpieczeństwo, zestawiłbym nową, bardziej dokładną".

„Zupełnie nieoczekiwanie w kwietniu przeczytałem w organie S. D. K. P. i L. „Czerwony Sztandar", że centralny komitet rosyjskiej S. D. przysłał listę agentów ochrany, którą też redakcja zamieściła bez zmiany. Żadnego wstępu, żadnych zastrzeżeń ani potwierdzeń od redakcji nie było. Było to dla mnie wielką niespodzianką. Drukowanie podobnej listy uważałem nietylko za bezcelowe, ale nawet za niedopuszczalne, a to z następujących względów. Lista była niekompletna, prawie żadnych udowadniających faktów nie było (wskutek pośpiechu nie mogłem tego uczynić); niektóre nazwiska zostały zdeformowane, niewątpliwe jest również, że przed opublikowaniem należało powiadomić każdą partję o jej zdrajcach, podczas gdy ani P. P. S., ani Bund, które najwięcej były w tem zainteresowane, o niczem nie wiedziały. Opublikowała natomiast listę S. D. K. P. i L., która miała w nim swoich zdrajców, zaledwie 3 — 4 osoby. Naturalną jest rzeczą, że z publikacji żadnego pożytku nie było, wywołała ona natomiast chaos, z którego do dziś dnia wybrnąć nie można".

„Na liście, — pisze Bakaj dalej, — opublikowanej w „Czerwonym Sztandarze", znalazły się takie osoby, których nie można było w żaden sposób nazwać szpiegami np. Dunin-Borkowski. Zostały podane i takie, co do których istniały pośrednie podejrzenia, że zajmowały się prowokatorstwem (Chwielewicka). Zostali podani również agenci, co do których nie było dostatecznych wskazówek, a wskutek tego powstawały skandale na tle identyczności nazwisk; tak było z Otmarem-Szteinem i Rudnickim. Wreszcie zamiast „Kęsicki" wydrukowano „Konicki", a urzędnik tego nazwiska rzeczywiście służył w magistracie warszawskim. Pan oczywiście pamięta, że nad niewinnym człowiekiem wisiało to oskarżenie przez kilka miesięcy; łatwo zrozumieć, ile przez ten czas wycierpiał".

Dalej Bakaj zarzuca Burcewowi, że korzystał z informacyj drobnych agentów ochrany rosyjskiej, nie zasługujących na zaufanie, i kompromitował się tylko ogłaszaniem rzeczy bez wartości. W ujęciu Bakaja Burcew jest człowiekiem najzupełniej nieodpowiedzialnym, chciwym natomiast władzy. Ani jednego zdania, które nie byłoby atakiem.

Bakaj nie wspomina sprawy Brzozowskiego, choć nie opuszcza ani jednej z drobniejszych, które razem z Burcewem przeprowadzał. Psychologicznie jest to zupełnie zrozumiałe. Uczciwy w r. 1912, Bakaj nie może podawać w wątpliwość swej czystości etycznej z r. 1909. Przyznanie się do składania fałszywych zeznań w okresie gdy uważał się już za najszczerszego rewolucjonistę — byłoby obaleniem podstawy etycznej, którą zajął wobec nieodpowiedzialnego, jego zdaniem, Burcewa. Że jednak prawdziwa natura Bakaja na wierzch wylazła, świadczy następujące zdanie: „Nie będzie zbędne zanotować tę okoliczność, że wiadomości o szpiegach drukował Pan bez uprzedniego sprawdzania, ufając prawdopodobnie autentyczności źródeł; takie zaufanie niezmiernie pochlebia i mnie i Mienszczikowowi ale trudno powiedzieć, że działał Pan w tym wypadku z całkowitym namysłem i z dostateczną ostrożnością". To już nie zarzut, ale coś w rodzaju perfidnego posunięcia: a skąd wiesz, że nie byłeś przez nas oszukiwany w tem zbyt łatwo przychodzącem ci demaskowaniu, że nie było w tem jakiegoś nieznanego ci celu? Są to oczywiście przypuszczenia, ale pragnąc rehabilitacji Brzozowskiego, należy rozprawić się ze świadkami oskarżenia, a właściwie z samymi oskarżycielami, występującymi w roli świadków. Bakaj sam cofnął pośrednio swoje oskarżenie, a wraz z niem upadł absolutnie autorytet Burcewa, który znów całkowicie opierał się na danych Bakaja.

KONFRONTACJA

Spróbowałem skonfrontować broszurę Bakaja z „Pamiętnikami" Burcewa wydanemi w r. 1924. Niewątpliwie tę broszurę Burcew znał, ale ani jeden ustęp „Pamiętników" nie wskazuje, żeby Burcew usiłował zdementować jakiekolwiek oświadczenie Bakaja. Wyraża się o nim z niezmienną sympatją, uważając go wszakże za narzędzie w swojem ręku, narzędzie coprawda nieomylne. Mniemanie to zgadza się z jego późniejszą opinią o Bakaju (por. wywiad Artura Prędskiego z Burcewem), na której podstawie może Burcew udowadniać winę Brzozowskiego następującem zdaniem: „Podczas sądu partyjnego w Krakowie, na którym i ja byłem obecny, Bakaj, skonfrontowany z Brzozowskim, powiedział: „Tak, to pan przychodził do mnie, i to ja panu wręczyłem pieniądze".

Co się tyczy zarzutu w sprawie listy prowokatorów, który Bakaj wysuwa na czoło swego oskarżenia, Burcew nic nie podaje na swoją obronę. Nie omawia nawet okoliczności, w jakich tę listę od Bakaja otrzymał, choć w „Pamiętnikach" wszelkie tego rodzaju szczegóły w związku z innemi faktami przytacza dokładnie. Konstatuje tylko mimochodem: „Rychło po przyjeździe do Paryża wystąpiłem z oskarżeniem przeciw kilku prowokatorom, którzy odgrywali podówczas znaczną rolę w ruchu rewolucyjnym, i przebywali w stosunkach z rewolucjonistami, działającymi w Rosji. Ze swoją listą — zawierała ona około 50—40 nazwisk — zaznajomiłem wszystkie partje, które przysyłały do mnie po informacje" (str. 213). Burcew paruje tu ubocznie zarzut Bakaja, że należało przed ogłoszeniem listy zaznajomić z nią przedstawicieli wszystkich partyj, ale nie wspomina nic o zarzucie, że lista ta przecież nie była opracowana. — a to właśnie jest głównym atutem Bakaja dowodzącym szalonej lekkomyślności Burcewa Burcew — nie Bakaj — staje się motorem sprawy Brzozowskiego, chociaż nie ma w ręku żadnego dowodu prócz nazwiska Brzozowskiego w notatniku Bakaja. Wiedział tylko tyle o Brzozowskim, ile mu powiedział Bakaj, t. zn. „...że próg oddziału ochrany przekroczył również... znany polski pisarz Brzozowski".

PRAWDOPODOBIEŃSTWA

Dwie mogą być hipotezy co do sposobu, w jaki nazwisko Brzozowskiego jako szpiega mogło stać się prawdopodobne w ustach urzędnika ochrany. Pierwsza, pozostająca w związku z manją nieustannych podejrzeń wzajemnych o szpiegostwo pomiędzy samymi członkami partyj. Podejrzenia te nie były częstokroć płonne, choć zazwyczaj mylnie kierowane, a podsycała je jeszcze ochrana coraz to nowe nazwiska puszczając w obieg

Nazwisko Brzozowskiego tem łatwiej ulec mogło podobnej infiltracji, że była już na niem plama jego zeznań z r. 1898.

Druga hipoteza, bardziej prawdopodobna, musi połączyć dwie daty: datę wydania broszury p. t. „Materjały śledztwa żandarmskiego z r. 1898 w sprawie Towarzystwa Oświaty Ludowej. I. Zeznania Leopolda Stanisława Leona Brzozowskiego", o której wspomniał już p. Ortwin, z datą pierwszego zakomunikowania Burcewowi nazwiska Brzozowskiego-szpiega przez Bakaja. Burcew dowiedział się od Bakaja „po raz pierwszy jeszcze w lecie r. 1906" (str. 189). broszura wyszła również w r. 1906. Gdyby udało się ustalić, że broszura wyszła w pierwszej połowie r. 1906, ślad byłby wiecej niż wyraźny.

Byłoby zbytniem symplifikowaniem sprawy, gdyby się próbowało postawić tezę, że Bakaj dopiero z tej broszury dowiedział się o Brzozowskim. Pracując w ochranie warszawskiej od r. 1902—3, musiał doskonale—z urzędu przecież—orjentować się w politycznych stosunkach polskich od ich strony raczej personalnej. Musiał więc słyszeć o Brzozowskim. Może miał nawet dostęp do materjałów ogłoszonych w broszurze. „Wartoby — powiada p. Ortwin — dziś zbadać, czy on sam w ogłoszeniu tej broszury nie maczał palców i czy go z wydawcami jej nie łączyły jakieś potajemne związki. W każdym razie wydanie tej broszury musiało go pouczyć, że Brzozowski przedstawia grubą w Polsce zwierzynę i że warto z tych lub owych względów przyczynić się do polowania na nią".

To mniej mi się wydaje wiarygodne. Jeżeli uwzględni się że z tych czy innych powodów Bakaj przeszedł w ostatnim czasie na służbę rewolucji, — to jakie mógł mieć wynachowanie w „polowaniu" na Brzozowskiego? Prawdopodobniejsze jest to, że Bakaj, chcąc dać Burcewowi próbkę swych ogromnych informacyj, „któreby mogły przynieść korzyść rewolucji", wystąpił z nazwiskiem Brzozowskiego, przypuszczając (a w zasadzie przypuszczenie takie było zawsze aktualne przez analogię do wielu innych wypadków), że człowiek, który raz (w r. 1898) już był w łapach ochrany i złożył wyczerpujące zeznania, będzie i nadal przez ochranę szantażowany[4]). Dalszy ciąg jest wiadomy. W każdym razie wydanie broszury należy spiąć w jeden łańcuch przyczynowy z pierwszą prywatną rewelacją Bakaja o Brzozowskim.

Henryk Drzewiecki.

---

[1]) por. „Sprawa Stanisława Brzozowskiego" Witolda Klingera w nr. 146, „Co mówią akta policji?" Stefana Drzewieckiego w nr. 148, „Co mówi Włodzimierz Burcew?" Artura Prędskiego w nr. 153, „Ostap Ortwin o procesie Brzozowskiego" ig. w nr. 165, „Feliks Kon o procesie Brzozowskiego" Pawła Ettingera w nr. 166, „Czas zamknąć sprawę Brzozowskiego!" Rafała Bubera w nr. 180 „Wiadomości Literackich".

[2]) Działo się to w r. 1907.

[3]) Naczelnika ochrany w Petersburgu.

[4]) O możliwości szantażowania Brzozowskiego przez ochranę mówiono podówczas wiele. Józef Grabiec („Czerwona Warszawa przed ćwierć wiekiem. Moje wspomnienia", Poznań 1925) opowiada: „Upadek... moralny „Brzozy" (Brzozowskiego) ochrana umiała doskonale wykorzystać. Już bowiem w r. 1900 do organizacji partyjnej P. P. S. doszło, że Brzozowski często bywa w ochranie że przyjmowany jest zaraz po przybyciu. Nie zwrócono na to wielkiej uwagi w partji, jako że Brzozowski usunięty był z życia publicznego młodzieży wyrokiem sądu i do partji żadnej nie należał. Natomiast w ochranie zaczęły zjawiać się wybornie opracowane referaty o prądach umysłowych w społeczeństwie polskiem, o ideologji poszczególnych grup, bez żadnych zresztą denuncjacyj osobistych, co tutaj mocno podkreślam.

Po stylu i sposobie ujęcia ludzie, którym odpisy tych referatów wpadły w ręce, poznawali bezwzględnie autorstwo Brzozowskiego. Dodam, że ludzie ci nic wspólnego z partją nie mieli i o znanych jej stosunkach Brzozowskiego z ochraną nic nie wiedzieli..."

Po śmierci Grabca nie można tego zarzutu zbadać należycie. W jaki sposób „odpisy tych referatów" mogły się dostać do rąk zainteresowanych, czy Grabiec sam je widział, czy też tylko o nich słyszał, w jaki sposób poznawano autorstwo i t. p.— to wszystko pytania bez odpowiedzi. Na podstawie znajomości ówczesnych stosunków towarzyskich i partyjnych należy przypuszczać, że były to wersje z r. 1898 związane wciąż z zeznaniami Brzozowskiego.

NOWOŚĆ!
Kamil Mauclair
MIŁOŚĆ ZMYSŁOWA
Bezkompromisowy, nagi obraz stosunków seksualnych dzisiejszego społeczeństwa, nakreślony ręką genjalnego artysty.
Brosz. 5.40 zł. Opr. pł. 7.50 zł.
KSIĘGARNIA NOWOŚCI WE LWOWIE

NARODZINY HERALDYKI LUDOWEJ

Wywiad własny „Wiadomości Literackich"

Poznań, w sierpniu 1927.

Autor dwóch świeżo ogłoszonych prac p. t. „Merki rybaków pomorskich. Przyczynek do heraldyki i folkloru" i „Znamiona bartne mazowieckie XVII i XVIII w. i inne znaki ludowe", p. Bolesław Namysłowski, profesor botaniki i chorób roślin na uniwersytecie poznańskim, wywołał wielkie ożywienie w świecie heraldyków i naraził się wielu „szlachetnym" tem, że wykazał ich łączność z „pracowitymi".

— Jaka jest teza pana? — zapytałem profesora, opowiedziawszy mu o wrażeniu, jakie prace jego wywołały wśród czytelników.

— Starałem się wykazać że znaki rodowe, występujące w narodzie polskim u wszystkich stanów, tworzą harmonijną całość, uzupełniają się wzajemnie i tłumaczą. Bez znajomości „herbów ludowych" nie może być mowy o rozumieniu herbów szlacheckich i mieszczańskich. Wedle mego zapatrywania herb jest reliktem ludowego pochodzenia, którego zachowanie przy życiu zawdzięczamy wyłącznie szlachcie.

— Czy nie grzeszy pan przeciw świętości szlacheckiego godła nazywając rozpoznawczo - własnościowy znak ludowy „herbem"?

— W czwartym fascykule nowogrodzkich aktów bartnych z r. 1725 komisja szlachecka nazwała włościański znak rozpoznawczo - własnościowy „herbem", uznając identyczność funkcyj prawnych herbu szlacheckiego i bartnego znaczenia, mogę sobie więc tem bardziej na taką nazwę pozwolić, że zebranie kilkuset znaków z heraldyki ludowej i dostrzeżone podobieństwo między niemi a herbami szlacheckiemi upewnia mnie w sądzie, że szlachecka masa herbowa wyszła z ludu, że w dalekiej przeszłości była zupełnie jedność między znakami ludu a szlachty i że morfologiczny rozdźwięk między heraldyką ludową a szlachecką jest dopiero późniejszy i to obcego pochodzenia.

— W jaki sposób doszedł pan do tak wspaniałego zbioru znaków ludowych?

— Zaczęło się od pracy o planktonie Bałtyku, a ponieważ każdy przyrodnik jest zbieraczem, przy tej sposobności zbierałem merki rybackie. Początkowo nie myślałem o ich opracowaniu. Chciałem poprostu odrysować kreski, któremi rybak znaczy sieci, czółna i inne przybory rybackie, i zbiór ich przekazać muzeum etnograficznemu. W miarę kolekcjonowania zaczęło mnie jednak coraz bardziej zaciekawiać zagadnienie heraldyki ludowej, i wtedy zabrałem się dopiero do opracowania obcego mi do tego czasu tematu.

— Czy znaki ludowe jeszcze żyją?

— Tak. Na Pomorzu. Jest to jedyna w Polsce ziemia, w której znaki ludowe żyją i są w pełnem zastosowaniu. W miarę oddalania się od cypla helskiego ku lądowi wygasają merki, a zwiększa się ilość rodzin, które zarzuciły swój znak rozpoznawczo - wartościowy. Do herbu można się nawet „przyżenić", według prawa ludowego. Na samym zresztą Helu możemy obserwować szybki zanik merków, coraz częściej zastępowanych inicjałami.

— Co przedstawiają merki?

— Kreskę i jej niezliczone kombinacje. Są to przeważnie zręby proste, w różny sposób się przecinające. Niektóre z merków są identyczne z herbami szlacheckiemi, np. rybak Michał Konkol z Jastarni posiada merk, który niczem nie różni się od herbu „Szeliga", Jan Konkol i Antoni Boschke z Jastarni „pieczętują się" merkiem identycznym z „Radwanem", Antoni Kąkol z Chałup ma znak taki sam jak Piłsudscy. Mimo wiekowej ewolucji da się więc wykazać nietylko szereg analogji, ale w niektórych wypadkach nawet identyczność herbów szlacheckich z merkami włościan.

fot. Stolski

BRONISŁAW NAMYSŁOWSKI

— A czem się różnią merki od znaków bartnych?

— Przedewszystkiem swą zachowaną żywotnością. Merki rybaków odrysowywałem ze sprzętów, które dziś są jeszcze w użyciu, gdy tymczasem znaki bartne uzyskałem wyłącznie z badań archiwalnych Jedynie z nadleśnictwa Myszyniec otrzymałem wiadomość że w leśnictwie Czarnia znajduje się jeszcze 19 drzew bartnych, każde w wieku przeszło dwustu lat, z zachowanemi barciami. Byłyby to więc okazy wprost bezcenne, ostatni żywi świadkowie prastarych czasów. Jeżeli chodzi o kształt — to większa wyrazistość znamion bartniczych tłumaczy się łatwością obróbki w korze drzew w porównaniu z cięciem w drzewie, stąd częstsze na Mazowszu niż na Pomorzu używanie linji falistej, lub nawet koła. Jeden miał przytem kłopot bartnik, którego nie znał rybak, mianowicie, odnawianie znamion na drzewie w miarę ich zarastania.

— A jaki jest wynik zbadania przez pana znaków ludowych?

— Podważenie precyzyjnie skonstruowanej przez Piekosińskiego teorji dynastycznego pochodzenia szlachty i runicznego skandynawskiego pochodzenia herbów Braterstwo herbowe również jest zachwiane choćby przez stwierdzenie powstawania herbów takich samych u różnych ludzi i ludów, nic z sobą wspólnego nie mających. Również nie ulega żadnej wątpliwości, że zwyczaj używania znaków własnościowych nie jest u nas zapożyczony, lecz ogólnoludzki. Nawet, jeżeli mowa tylko o herbach szlacheckich, to jedynie część ich przyszła w gotowej formie z Zachodu i nie wiąże się z Polską genetycznie. Większość powstała u nas i wyszło. Jako szczery demokrata, doznałem przytem satysfakcji, że przyczyniłem się do obalenia pretensjonalnych uroszczeń „szlachetnych" do wynoszenia się nad „pracowitych", rzekomo z innej ulepionych gliny. Teraz zapewne heraldycy zawodowi uzupełnią i udoskonalą moje wywody. Pocieszam się przytem, że gdyby nawet nauka przyszła kiedyś do wprost odmiennego sądu, niż ten, który ogłosiłem w moich przyczynkach z dziedziny heraldyki i folkloru w każdym razie pożyteczną pozycją okaże się zebranie blisko sześciuset znaków ludowych, kolekcja, której dotychczas nikt nie okazywał zainteresowania. Jeżeli czas pozwoli, zaimę się jeszcze heraldyką mieszczańską i może na jej temat coś ogłoszę.

Poszukiwania historyczne dały tyle przyjemności przyrodnikowi, że zapewne nie potrafię oprzeć się pokusie poświęcenia im wolnych chwil od obowiązków zawodowych. Botanik „bałamucący się" heraldyka — dopowiada po chwili prof. Namysłowski — jest przytem ziawiskiem bądź co bądź tak niecodziennem, że gdybym wyrzekł się na przyszłość badań heraldycznych, pozbawiłbym swych kolegów-botaników dobrej zabawy — a nie mam powodu odmawiania im tej miłej rozrywki.

Steł.

FRYDLĄD JUNIOR

Przedmowa do komedji w książce

Na początku sezonu zimowego albo tak — ni stąd ni zowąd — na wiosnę, albo wogóle około Nowego Roku, jedno przynajmniej z pism stołecznych wpada na pomysł nowy, aktualny, nieoczekiwany, i rozpisuje ankietę teatralną:

1) Co Pan sądzi o teatrze dzisiejszym? Czy sztuka dramatyczna upada i jeżeli tak, to dlaczego?

2) Jakie należy stosować środki zaradcze? Czy można zwiększyć frekwencję, nie zwiększając deficytu, i zmniejszyć deficyt, nie zmniejszając ilości dyrektorów? Jak? i t. d. Co? i t. d.

Już kilka razy odpowiadałem na te pytania — krótko i rozwlekle, figlarnie i żałośnie... „Kwestja" — jak pijacka zgaga — wraca co pewien czas, i niema na nią sposobu.

Tak! Sztuka dramtyczna upada i to dla tych samych powodów, dla których upada sztuka *dorożkarska.* Kto będzie się wlókł po mieście w obdartym, nudnym, zbytecznym, jednokonnym starym, brzydkim wehikule, kiedy na każdym rogu ulicy ma auto oświetlone elektrycznie i popychane siłą trzydziestu koni parowych!

Sztuka — wbrew różnym komunałom— wcale nie jest wieczna. Ruchome czcionki Gutenberga zamordowały artystę — przepisywacza książek, maszyny Remingtona i Underwooda wytępiły co do nogi kaligrafów, niejaki Gillette (U. S Pat.) ma na sumieniu wygadanego cyrulika-filozofa, sprytnego Figara, rozmiłowanego w swym kunszcie golibrodę. Grafika zabiła obraz olejny, konstrukcje betonowe zabiły rzeźbę, nowsze instrumenty muzyczne zgładziły ze świata kobziarza i dudziarza.

Ulepszyliśmy tłocznie drukarskie, maszyny rotacyjne, bijemy książki — a zwłaszcza gazety — w setkach tysięcy egzemplarzy, rozwozimy rasze pisma samolotami. Wymyśliliśmy też radjo, megafon, kino. Nasze „żywe słowa" rozrzucamy po świecie, lecą szybciej od huraganu, brzmią donośniej od gromu, uderzają prędzej, niż piorun, trafiają celniej od strzał Wilhelma Tella, docierają do granic atmosfery ziemskiej. I nawet trochę dalej.

W tych czasach ze wszystkich twórców, literatów jeden jedyny „autor dramatyczny" trzyma się kurczowo jakichś urządzeń przestarzałych, średniowiecznych. Napisze tą biedną sztuczkę a potem biega ze skryptem po kancelarjach, obrywa poły obcym, obojętnym ludziom, prosi na klęczkach, żeby się zajęli jego utworem błaga jak kaleka, niemowa, żeby to i owo zechcieli pokazać ze sceny na migi wieczorkiem, kiedy gapie z miasta przyjdą.

Nie. Ten sposób reprodukowania dzieł sztuki przeżył się oddawna, i po chwili zastanowienia nawet najbardziej zaczadziały estetą i manjak z trzeciego rzędu (fotel redakcyjny) dojść chyba musi do prostego, jasnego wniosku:

ani Szekspir, ani Moljer, ani nikt z wielkich Greków — gdyby tak dziś znów na świat przyszli — nie pisaliby dramatów i komedyj.

Czy wyobrażacie sobie starego, wielkiego, czcigodnego Billa, Łabędzia z Avonu, który ślęczy po nocach nad „Hamletem" a postawiwszy wreszcie ostatnią kropkę, niesie swój dorobek poetycki do teatru, targuje się zdyszany, zasapany, spocony o obsadę, telefonuje po kilkanaście razy do dyrekcji, żeby mu nie zabierano Kabotyniaka do innej sztuki stawia reżyserowi kolację, żeby mu nic nie skreślał w trzecim akcie, i woła gromkim głosem: na miłość Boską, nie puszczajcie Kalesońskiej do Łodzi, bo kto będzie grał Ofelję?

„Autor dramatyczny" znika, jak znikł sławetny fiakier w Wiedniu i dobrotliwy „cocher" w Paryżu. Są dowody że powieść, nowela, wogóle prozą wywiera — bez pomocy donajętych histrjonów — większe wrażenie, budzi głośniejsze echo, niż pięcioaktowa tragedja, deklamowana przez zawodowców.

I istnieje dziś na dobrą sprawę tylko jeden prawdziwie wielki pisarz, który się twórczości teatralnej poświęcił, — G. B. Shaw. Ale kto zechce jego dzieła przestudjować uważnie w wydaniu książkowem, zrozumie chyba, że nawet ten świetny wyjątek potwierdza regułę ogólną. Chcecie doprawdy wiedzieć, jak się „Pigmaljon" kończy? — przeczytajcie go w książce. Widz teatralny nic nie wie o bohaterach tej sztuki, czytelnik jest znacznie lepiej poinformowany. Przeczytaicie zresztą wielostronicowe, obszerne, mądre, dowcipne, prawdziwe, shawowskie uwagi, epilogi... Shaw pisze sztuki, bo — kocha się w *dialogu.*

Tu tkwi jądro sprawy! Dlaczegośmy właściwie mówiąc zaprzepaścili tę piękną, męską, zwiezłą, mocną, lapidarną formę literacką? Dlaczegośmy ją oddali na pastwę instytucjom rozrywkowym? Dawniej bardzo poważne nauki podawano w dialogach, pytaniach i odpowiedziach, rozmówkach. Galileusz nawet rozprawę o wahadle prostem umieszcza w słynnych „Discorsi". Dialog panował w katechizmach i w matematyce, w misterjach i anegdotach.

Jakiś złośliwy człowiek oszukał, nabrał u nas ludzi łatwowiernych, wydawców i kliientów wypożyczalń książek, wytłumaczył im, że wszelkie „cudzysłowy" nie nadają się do czytania.

Frydlad: Dzień dobry. Jak się pani miewa?

Takie zdanie razi zmysł wzroku i jest w druku *niedopuszczalne.* Natomiast za:

— Dzień dobry — rzekł Frydląd i odsapnął. — Jak się pani miewa?

możemy otrzymać nawet nagrodę literacką miasta Sosnowca.

Trzeba raz wreszcie zerwać z dzikim zabobonem. Moja rozprawka o „Starych i młodych", o dzisiejszych „ojcach i dzieciach" napisana była, niestety, w formie dramatycznej. Nikt teraz tego nie chce drukować i nikt nie chce tego grać. Teatrom przyznaję słuszność. Nakręcać olbrzymią, sapiącą skrzeczącą, starą, nieznośną machinę teatralną, puszczać w ruch dla tej błahej sprawy sceny obrotowe, zapalać lampy łukowe, reflektory zwoływać recenzentów z całego miasta? Poco?

Ale chciałbym nabrać jakiego wydawcę i ogłosić drukiem żale starego Frydląda i dotychczasowe rezultaty — „wyczyny" *Frydląda junjora.* Zapalmy zwykłą żarówkę i czytajmy. Kto wie, czy to nie jest jedyna skuteczna reforma teatralna.

Nie zapominajmy zresztą, że pierwsze wydanie jednego z dramatów Szekspira poprzedzono długi przedmową następującą:

„Czytelniku! Oto masz nowe dzieło, jeszcze przez teatr *niezepsute...*"

Już w R. P. 1609 ludzie wpadli na takie zdanie! I jego autorem był wydawca.

Bruno Winawer.

Antoni Słonimski
WIEŻA BABEL
Zł. 4.—
NAKŁAD F. HOESICKA

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę na kw. IV b. r. (wraz z miesięcznikiem „Pologne Littéraire" zł. 9.— w Kraju, dol. 2.— zagranicą). Administracja: Warszawa, Boduena 1, tel. 223-04 (można zamawiać telefonicznie). Konto w P.K.O. 8.515

Arno Nadel*)

Arno Nadel lubuje się w stylizacji.

Stylizacją na temat motywów greckich są jego „Tänze und Beschwörungen des Weissagenden Dionysos" — poza zakres stylizacji nie wychodzi też wielki cykl biblijny p. t. „Der Sündenfall". Poezja przełamuje tu granice wartości słownych i przekształca się w kanciaste rysunki waz etruskich i w szeroko malowane freski Starego Testamentu. Same tytuły wskazują już na religijną zawartość tej malarsko traktowanej poezji. „Abraham oder die Entdeckung Gottes", „Moses Berufung" — oto nazwy poszczególnych scen cyklu „Der Sündenfall". Freski biblijne Nadla są jednocześnie wykładem jego wiedzy teologicznej, bardzo zawiłej i niebardzo interesującej dla czytelnika. Przy lekturze poezji Nadla nie trzeba zapominać, że jest on autorem mistycznej książki p. t. „Der Ton — Die Lehre von Gott und Leben". Ten poemat religijny — „nauka o Bogu i życiu" — usiłuje kontynuować tradycje dawnej mistyki niemieckiej.

Źródłem poznania jest dla Nadla nie logika, lecz przemiana duszy, która staje się częścią Boga. Balast teologiczny nie wychodzi na dobre scenie p. t. „Abraham oder die Berufung Gottes", przypominającej aż nazbyt wyraźnie dydaktyczne epistoły z przed czasów romantyzmu. Ale obok ciężkiej tyrady Abrahama ustawił Nadel sceny kreślone możliwie najdelikatniejszemi barwami, idylliczne obrazki, jak „Ruth" i „Rahels Tod". Najprymitywniejsze instynkty natury ludzkiej stają się tu materjałem, z którego autor krzesa wiersze pełne prawdziwej poezji. Tę miękkość i łagodność barw zachowują też niektóre z pośród „tańców i zaklęć wieszczego Dionizosa": „Tänze und Beschwörungen des Weissagenden Dionysos" łączą böcklinowski koloryt z tanecznym rytmem dawnej muzyki greckiej. Ale nawet poprzez wdzięczne kołysanie tych ciekawych rytmicznie wierszy przegląda od czasu do czasu szkielet mistycznej wiedzy autora poematu „Der Ton".

rr.

*) *Arno Nadel.* Tänze und Beschwörungen des weissagenden Dionysos. Berlin, Felix Stössinger, 1925; str. 39 i 5nl.— Der Sündenfall. Sieben biblische Szenen. Titelzeichnung von *Ludwig Meidner.* Tamże, 1926; str. 103 i 1nl.

ANGLICY O OSSENDOWSKIM

W miesięczniku „The Geographical Journal" (nr. 1 z r. 1927), będącym oficjalnym organem Królewskiego Towarzystwa Geograficznego w Londynie, znajdujemy recenzję z ostatniej książki Ossendowskiego, która ukazała się w przekładzie angielskim, mianowicie z „Płomiennej Północy".

„Książka Ossendowskiego — pisze „The Geographical Journal" — jest interesującym przyczynkiem do geografji Afryki. Odbył on podróż do Algieru i Marokka z rodzaju tych podróży, które dziś są zwykle nieco konwencjonalne. Władze francuskie zajęły się nim troskliwie. Pokazując mu wszystko co jest godne widzenia, przedstawiły swą pracę w najlepszem świetle. Autor był jednak zbyt przenikliwym obserwatorem, by się dać wziąć na lep propagandy, nawet najbardziej usprawiedliwionej.

Pod pewnym względem „Płomienna Północ" jest cennym komentarzem do kontrowersji, która powstała dookoła jego azjatyckich wędrówek. Rzuca bowiem wiele światła na bystrość autora i jego zdolność robienia spostrzeżeń i zbierania wiadomości. Ossendowski nie zapomina nigdy — niezależnie od tego co pisze — o głębszych problematach towarzyszących zadaniom administracji europejskiej w kraju wschodnim, posiadającym swą własną starożytną filozofję. Możnaby mu zarzucić, — jeśli to można nazwać zarzutem, — że daje za wiele opisów i malowniczych obrazów. Niemniej nie zapomina nigdy o sprawach żywotnych, które umie zawsze należycie uzasadnić. („the vital issues are always remembered and well postulated"). Poza problematami politycznemi autor miał możność głębszego zastanowienia się nad ogólnie uznaną jednością rasową Berberów. Wątpliwości jego pod tym względem — wbrew konwencjonalnie utartym pojęciom — przynoszą zaszczyt nowemu przybyszowi w Afryce Północnej; są one dowodem — jeśli trzeba dowodów—kompetencji Ossendowskiego jako uczonego podróżnika („they prove, if it be needed, of Dr. Ossendowski's competence as a scientific traveller"). Książka jest nietylko dobrze napisana, ale zawiera również dobry materjał".

F. L. Schoell o literaturze polskiej

W wydawanym przez Mariusa Boissona paryskim miesięczniku bibljograficzno-informacyjnym p. t. „Vient de Paraître" wśród przeglądów literatur obcych wprowadzono od niedawna dział polski pod redakcja znanego tłumacza Reymonta, Fr. L. Schoella. W nr. 58 z października 1926 znajdujemy artykuł o Reymoncie, gdzie uwzględniono także Żeromskiego oraz przekłady z Reymonta na języki obce. W dalszym ciągu omówił Schoell studja o Reymoncie: francuskie Lorentowicza, polskie Dody, włoskie Lo Gatta. Szkoda, że pominięto tu piękną książeczkę Dębickiego. W nr. 62 z lutego 1927 czytamy o Boyu-Żeleńskim, o antologji „Sonetu polskiego" Folkierskiego o „Listach ze wsi" Orkana, o zapowiedzianej francuskiej pracy doktorskiej Chełmińskiej o Reymoncie, gdzie znaleźć się mają nieznane materjały do młodości pisarza, oraz o „Pologne Littéraire", gdzie sprawozdawca wyróżnia artykuł Iwaszkiewicza o Żeromskim i Reymoncie. W ostatnio wydanym nr. 67 za lipiec i sierpień 1927 Schoell zaimuje się studium Cazina o Reymoncie i Goetlu. Po wzmiankach o „Pożodze" Kossak-Szczuckiej, Ossendowskim, Dyboskim i francuskim przekładzie „Kar-Chata", krytyk omawia szerzej tom p. t. „Ludzkość". W zakończeniu utwory Goetla stawia narówni z „Nowelami azjatyckiemi" Gobineau.

kcz.

Rocznik Gutenbergowski

Drugi z kolei tom „Gutenberg-Jahrbuch", wydawany jako stały organ doroczny międzynarodowej „Gutenberg Gesellschaft" w Moguncji przez dr. A Ruppela, występuje w szacie ieszcze okazalszej niż tom zeszłoroczny. I tym razem wydawnictwo w całości poświecone jest badaniom nad dziejami, technice, zastosowaniu i perspektywom sztuki drukarskiej w najróżnieiszych kierunkach, a co najmniej trzydziestu autorów w sposób mniej lub bardziej obszerny potrąca o tematy z tej rozległej dziedziny.

Jeśli chodzi o przestrzeganie charakteru szeroko miedzynarodowego, to niewiele posiadamy wydawnictw, gdzieby program ten istotnie był zrealizowany z gestem tak imponującym jak w nainowszym „Roczniku Gutenbergowskim". Oczywiście nie tutaj miejsce na wyłuszczenie całej bogatej treści dużego tomu in quarto, ale parę przykładów odrazu podkreśli to zupełne równouprawnienie, z jakiego w jednakowej mierze korzystały narody, wielkie i małe, państwa dawne i nowo powstałe Sąsiadują one obok siebie, zarówno gdy chodzi o historję drukarstwa dawnego i wybitnych jego przedstawicieli jak też gdy mowa o zdobnictwie książkowem doby współczesnej. A więc np. obok wyczerpującego artykułu o czcionce elzewirowej znajdujemy w „Roczniku" rzeczy o wczesnem drukarstwie w Pradze czeskiej, na Węgrzech, w Monaco i nawet w kolonjach hiszpańskich Ameryki Południowej. Analogicznie w dziale współczesnym została oświetlona nainowsza książka wytworna w Niemczech, w Polsce (Jerzy Warchałowski), w Bułgarji i Rosji sowieckiej a jako „pendant" do monografji o zmarłym grafiku ukraińskim Jerzym Narbucie, służy artykuł o zdobnictwie książkowem wybitnego malarza duńskiego Joakima Skovgaard, którego siedemdziesięciolecie w jego ojczyźnie niedawno uroczyście obchodzono. Wogóle przyznać należy, że dr. Ruppel jako redaktor główny wydawnictwa był na wysokości zadania i wyśmienicie się z niego wywiązał.

Wobec niewątpliwego zainteresowania i uznania, jakie na tegoroczrej „Buchkunst-Austellung" w Lipsku w prasie zachodniej wywołała sekcja polska,—krytyk niemiecki M. Fr. Scheffer pisał niedawno o niej:

Szczególnie Polska dochodzi do nieoczekiwanych rozwiązań, kolorowych i bezpośrednich", — rozprawka Jerzego Warchałowskiego, umieszczona wraz z licznemi reprodukcjami w „Roczniku Gutenbergowskim" p. t. „Polnische moderne Buchdruckkunst" nabrała pewnej aktualności i należycie informuje o drogach rozwoju naszego drukarstwa i książnictwa artystycznego w ciągu stulecia bieżacego. Autor, oczywiście słusznie, sporo miejsca poświecił kwestji stworzenia u nas nowych czcionek oryginalnych, wymieniając jako głównych inicjatorów tego ruchu B. Lenarta, A. Półtawskiego, a szczególnie Ludwika Gardowskiego. Szereg świetnie odbitych rycin zaznajamia z twórczością drukarsko-graficzną Wyspiańskiego, Mehoffera, Bukowskiego, Gardowskiego, Stryjeńskiej i Kamińskiego.

pe.

NOTATKI

Nowe książki nakładu Kiepenheuera. W nakładzie potsdamskiego Kiepenheuera ukazały się ostatnio następujące książki: powieść Arnolda Zweiga „Der Streit um den Sergeanten Grischa", dramat Tollera „Hoppla, wir leben!", komedja Kaisera „Der echte Blanchonetti", opowiadania Feuchtwangera „Pep", monografja Pfistera o Cézanne'ie.

Nowa książka Ewersa. W nakładzie berlińskiej „Landsbergsche Buchhandlung" wyszła nowa książka Ewersa „Die traurige Geschichte meiner Trockenlegung".

Powieść Däublera. Znany liryk niemiecki, Theodor Däubler, napisał powieść p. t. „L'Africana", którą drukować będzie dwumiesięcznik „Die Horen".

Powieść o upadku starej Austrji. Nakładem Insel-Verlag ukazała się wielka (prawie tysiąc stron druku) powieść Felixa Brauna „Agnes Altkirchner", osnuta na tle upadku starej Austrji.

Dzieła zbiorowe Kaisera. Utwory sceniczne Kaisera pojawią się w zbiorowem wydaniu nakładem Kiepenheuera. T. I. obejmie „Gas" i „Gats", t. II — „Von morgen bis mitternachts", „Nebeneinander", „Kanzelist Krehler", „Zweimal Oliver", t. III — „Die Bürger von Calais", „Der gerettete Alkibiades" i „Gilles und Jeanne".

„Ulysses" Joyce'a po niemiecku. W nakładzie bazyleiskiego „Rhein-Verlag" ukazał się w końcu września b. r. jako „druk prywatny" przekład niemiecki słynnego „Ulyssesa" Joyce'a, w ograniczonej ilości 1.000 egzemplarzy dla subskrybentów, którymi mogą być jedynie lekarze i ludzie powyżej 25 lat, zajmujący się literaturą. Cena egzemplarza wynosi mk. 70.— (3 tomy, sto arkuszy), w oprawie — mk. 100.—.

O Rotschildach. Nakładem Insel-Verlag pojawiła się książka E. C. Cortiego „Der Aufstieg des Hauses Rotschild".

Zabroniona licytacja. U Drouota miała odbyć się licytacja listów prywatnych Romain Rollanda, ale pisarz zaprotestował, i licytacja nie odbyła się.

Podróże pisarzy. Blaise Cendrars udał się do Ameryki Południowej.

Nowele amerykańskie Durtaina. W nakładzie „Nouvelle Revue Française" ukazały się trzy nowele Durtaina p. t. „Quarantième étage" — oparte na stosunkach amerykańskich.

Utwór sceniczny Giraudoux. Giraudoux przerobił swoją powieść „Siegfried et le Limousin" na scenę. Komedja ta p. t. „Siegfried" ukaże się w „Comédie des Champs Elysées".

Rozmowa z Dekobrą. W rozmowie z pewnym dziennikarzem oświadczył Dekobra, że zasadniczo nie czytuje współczesnych autorów, szczególniej powieściopisarzy. Z klasyków na miejscu naczelnem stawia Swifta, Woltera i Goethego. „Kilka sztuk Szekspira umiem na pamięć, gdyż guwernantka, która uczyła mnie angielskiego kiedy miałem siedem lat, była przedtem suflerką w „Drury Lane Theater" w Londynie". Z najwyższa pogardą wyraża się Dekobra o krytykach, oświadczając, że trzeba mieć duszę małego nauczyciela ludowego i nie posiadać najmniejszego poczucia śmieszności, aby uprawiać ten zawód".

Shaw a dobra kuchnia. W odpowiedzi na ankietę Shaw oświadczył, że najgorszemi kucharkami na świecie są Angielki, które nawet przy pomocy dobrych przypraw robia złe potrawy. Francuzki umieją coprawda z najnieznaczniejszych przypraw przyrządzić doskonałe rzeczy, ale mistrzynią zawodu kucharskiego jest — Niemka.

Galsworthy. U Heinemanna ukazała się książka Conala O'Riordana o Galsworthym. Sam Galsworthy wykończył ostatnio serję „Forsyte'ów", prócz tego napisał wstępy do dwóch książek: do „The Meaning of Rotary", zawierający kilka stron poświeconych propagandzie porozumienia międzynarodowego, i do nowego wydania dzieła Aloysiusa Horna o Wybrzeżu Kości Słoniowej.

Pisarz i grzyby. Znany pisarz angielski, David Garnett, autor miłej książki o kobiecie zamienionej w lisa p. t. „Lady into Fox", otrzymał niedawno medal za odkrycie nowego minjaturowego gatunku grzybów.

Dzieci dla dzieci. W nakładzie Putnama wychodzi serja książek „Boy's Books by Boys", pisanych przez chłopców dla chłopców. W serji tej ukazał się utwór niejakiego Davida, stanowiący trzecie jego dzieło, — przyczem David nie ma jeszcze pietnastu lat. Zapowiedziane są również książki chłopca jedenastoletniego i trzynastoletniego.

Lalou o literaturze angielskiej. Znakomity krytyk francuski, René Lalou wydał u Kra książkę o literaturze angielskiej.

Zgon Jużina. W Nizzy zmarł Aleksander Jużin (pseudonim ks. Sumbatowa), znakomity tragik moskiewskiego Teatru Małego, prócz tego — autor kilku cieszących się w swoim czasie dużem powodzeniem sztuk.

Utrillo właścicielem zamku. Znakomity malarz Maurice Utrillo, który przeżywał straszną biedę w zaraniu swej karjery artystycznej, kupił sobie obecnie stary zamek w okolicach Lyonu. Zamek posiada jeszcze fosy, most zwodzony i t. d.

RZECZ O BOKSERZE MIŁOŚCI PEŁNYM CZYLI O CHRYSTUSIE

W związku z daleko zachodzącemi różnicami w ocenie krytycznej ostatniego zbioru poetyckiego („Bieg do bieguna") Anatola Sterna*) pozwalam sobie wtrącić słów kilka do polemiki o tę książkę.

Ludzie zdrowomyślni na wszystkie „przemiany wewnętrzne" zwykli patrzeć krytycznie i z powątpiewaniem. W dyluwjalnych umysłowościach wiadomego pokroju albo się jest, dajmy na to, „porządnym" marksistą i w związku z tem, zgodnie z programem komunistycznym, ateistą, albo to wszystko „bujda na resorach"...

Wobec tak uproszczonego schematu myślenia Anatol Stern, wydając ten cykl swoich poezyj, w których wskazuje swą drogę rozwojową i krzyżownicę trapiących go rozbieżności znalazł się na skraju tolerancji wszelkich możliwych punktów widzenia.

Pod adresem tego zbioru wytacza się najczęściej kwestję szczerości czy prawdy dokonywającego się w autorze przełomu, jak gdyby mogło to być sprawą zasadniczą. Nie podając zresztą wcale w wątpliwość prawdziwości owej przemiany wewnętrznej poety, stwierdzam ubocznie, że nawet świadoma fikcja, wprzęgnięta do roboty, dokonywała nieraz rzeczy większych niż fikcja bezwiedna, zwana popularnie prawdą.

Nie bez głębszego powodu sztuka w chwili obecnej ze szczególnem upodobaniem zwraca się do fikcji i jej roli życiowej. Pirandello niemal wszystkie swoje sztuki oparł na tym motywie. Jules Romains w opowieści filmowej „Donogoo-Tonka" wprowadza kult „omyłki naukowej", która przelicytowała wszelka rzeczywistość w swoich życiowych możliwościach. Z tego samego punktu widzenia należałoby spojrzeć na teraźniejsze odrodzenie ruchu religijnego, który odgrywa rolę płodnej fikcji oprocentowującej sowicie kapitał nagiej prawdy życia.

I gdzie jak gdzie, ale w poezji krytyk nie ma prawa przypinania się do kwestji tej „szczerości", gdyż zadaniem jego jest zestawić nie dzieło z artystą (jak to nałogowo czyni, niestety, krytyka dotychczasowa), lecz — z rzeczywistością; wskazać miejsce i rolę tego „nowego przedmiotu" w szeregu innych znanych nam przedmiotów.

Z tego zaś punktu widzenia „Bieg do bieguna" Anatola Sterna jest książką wysoce znamienną.

Jest ona przedewszystkiem świadectwem mężnego starcia się z bezwładem własnej osobowości, bohaterską próbą przeciwstawienia się bezładowi podświadomości, walce żywiołów, roznoszących zwartą geometrję monolitu na strzępy zdarzeń i skrawki sentymentów.

Poeta, wsłuchany czujnie w zgrzytliwy orkan polifonji miasta, zdobywa się na skupienie w sobie rozbieżnego chaosu nowoczesnego życia, aby z tych miażdżących dialektycznie duszę naszą sprzeczności na krzyżowej drodze logicznych całopaleń, znaleźć syntezę społecznego rewolucjonizmu z żywem a lucyferycznie pojetem uczuciem religijnem.

Synteza ta w chwili obecnej nie jest już kwestją osobistych sympatyj czy antypatyj samego poety, lecz wypadkową najżarliwszych wysiłków myśli i czucia europejskiego w ciągu ostatniego pięćdziesięciolecia. W swoim czasie nie bez głębokiej racji stwierdził Brzozowski, że najistotniejszem zagadnieniem chwili jest starcie się materjalizmu dziejowego z pragmatyzmem, że wszystko od tego zależy.

W poezji Sterna, zarówno jak i we współczesnem życiu kulturalnem, pragmatyzm odnosi zwycięstwo nad materjalizmem. Świadectwem tego są trzy etapy tej drogi, uwidocznione w „Drodze wysokiego zwycięstwa", „Europie" i „Biegu do bieguna".

W pierwszym z tych utworów występuje obrazoburczy i świętokradzki optymizm boskiej żądzy budowania, upajająca świadomość mechanicznej regulacji świata — jakże typowa i charakterystyczna dla futurystycznego kultu techniki i intelektu.

„Świat *drewnianego drzewa,*
świat żelaznego żelaza
i czworokątnych kwadratów —
to jedyny żywy,
jedyny prawdziwy śród światów".

Te tautologiczne określniki, użyte tutaj nie bez głębokiej racji artystycznej, świadczą widomie jednak o przepaści, ziejącej między szczelinami bytów, o niemożliwości przerzucania mostów zwodzonych nad bezdnią kosmiczną tych różnic między „drewnianem drzewem" a „żelaznem żelazem".

*) por. recenzję Stefana Napierskiego w nr. 192 „Wiadomości Literackich".

Ten tragizm niedociągnięcia, załamanie się w beznadziejnej pracy scalania rzeczywistości na drodze czysto mechanicznej regulacji, wyrazi we wspaniałym poemacie o Europie, którą trzeba zdeptać, zmierzwić, zburzyć w imię wyzwolonego serca człowieka, buntującego się pod sztandarem swojej „organicznej wielości" przeciwko sobie samemu z okresu „mechanicznej jedności".

Tę sprzeczność między apoteozą pracy a zmorą tragicznej kapitulacji wobec kiełka trawki, która, wyrastając między dwiema płytami chodnika, głosi nieuniknioną „Śmierć Europie" (podobnie u H. G. Wellsa w „Królestwie mrówek" człowiek na szczycie cywilizacji kapitulować musi przed mrówkami), rozwiązuje poeta w poszukiwaniu formuły powszechnej miłości, która narazie przynajmniej (w „Zdobyciu Paryża") wyraża się w czysto anarchicznym ideale życia „poza dobrem i złem". Dopiero w „Biegu do bieguna" poeta jako „kwasem siarczanym miłości straszliwej napełniony człowiek" znajduje tę formułę łączącą, która jest biegun magnetyczny życia duchowego, — „Dyskobol święty, szybkobiegacz niepojęty, bokser miłości pełny, — Carpentier niebios niezwyciężony" — Chrystus.

Książka w całości jest rejestracją przemian duchowych nie autora jedynie, jak chce p. Napierski, lecz współczesnej epoki, która, nie mogąc poprzestać ani na büchnerowsko-vogtowskim ani na marksistycznym materjalizmie, szuka nowych dróg poznawczych i znajduje je w religijnym stosunku do świata.

W przeciwstawieniu jednak do Wittlina i Zegadłowicza, którzy biorąc rzecz ryczałtem, podobne zajmują stanowisko, oryginalność i wartość swoista stanowiska Sterna wyraża się w walce „z łatwej miłości pokusą" („Mój Bóg"), co uwiodła i zdeprawowała bardzo ciekawie zapowiadająca się twórczość Zegadłowicza.

Miłość również jest „względna"... Nie można jej traktować jako panaceum na wszystkie niedobory własnej myśli i niedoskonałość świata. W tej roli staje się fotelem dla paralityków i kantyczką dla nierobów.

Stern, wskazując nam drogę rozwojową, ustrzegł się tej wyświechtanej łatwizny religijnego samopoczęcia i dzieworództwa, kończącego się czkawką zakładania i onanją mistyczną. Jeżeli chodzi o analogie literackie, zaryzykowałbym podobieństwo między tą postacią miłości a lucyferyzmem Słowackiego z „Samuela Zborowskiego". „Bieg do bieguna" tedy (wbrew zasadniczej tendencji p. K. W. Z. z „Przeglądu Warszawskiego" do wyprowadzenia całej nowej poezji polskiej ze źródeł rosyjskich) dałby się oprawić w ramy nawet romantycznej tradycji polskiej, zbogaconej oczywiście przez intelekt filozoficzny Jamesa, Euckena, Papiniego i cały współczesny wysiłek poetycki, zmierzający do uklasycznienia się i przefiltrowania osadów irracjonalnych.

Ze względu na stopień tego prześwietlenia zachodzi olbrzymia różnica między poprzednim zbiorem poety („Anielski cham") a „Biegiem do bieguna". To co tam było bezkształtną bryłą tu scala się i montuje. Mgławica spiralna staje się geoidą, której bieguny goreia zorzą polarną ponadindywidualnej miłości, pozwalającej poecie rozpłynąć się w Chrystusie.

Książka ta świadcząca dobitnie o przełomie dokonywającym się w nowej psychice europejskiej, wyróżnia się bogatą, może nawet miejscami hipertroficznie przeładowaną obrazowością, czerpaną z dziedziny życia technicznego, organicznego (najchwytniejsze i najoryginalniejsze obrazy i przenośnie — por. np. wspaniałe zakończenie „Europy") i sportowego. Mniej dbałości ujawnia poeta w stosunku do harmonji dźwiękowej wiersza która w tym zbiorze działa niedość poddawczo. A przecież Stern w niemałym stopniu posiada tę zdolność „orkiestracji dźwiękowej", jak świadczy jego niezapomniany wiersz z „Anielskiego chama" — „Jest nas troje"... wiersz który mógłby być wzorem zestrojenia dźwięku słownego z rytmiką strofy.

Niezależnie jednak od wartości poetyckiej tego zbioru nie mniej podziwiać można odwagę cywilną autora, który, stanąwszy przed tak niepopularną konsekwencją swego rozwoju wewnętrznego, jak synteza marksizmu z chrześcijaństwem, nie ulakł się przeciwstawić zarówno sobie samemu z przed lat kilku jak i bezwładnej i demagogicznie paralitycznej opinji wszystkich swoich dotychczasowych zwolenników. Taki gest charakteryzuje już nietylko pisarza lecz i człowieka, którego stać na to, żeby być sobą niezależnie od „bazy (!) ekonomicznej" (patrz „Dźwignia") swojej epoki.

Jan Nepomucen Miller.

POEZJE KOŁONIECKIEGO

Roman Kołoniecki. Wschody i zachody. Poezje. Warszawa, F. Hoesick, 1927; str. 90 i 6nl.

Kołoniecki przychodzi z własnym repertuarem poetyckim. Nie niesie żadnych (lub prawie żadnych) wyświechtanych rekwizytów, tylko buduje swój wiersz z nowych „przedmiotów", nie używanych dotychczas. Czasami jest to przemiana radykalna, graniczaca z karykaturą. Ale owe wszystkie „trzewia", „soki", „plwociny" i „wymioty", których nadużywa Kołoniecki dają odświeżającą reakcję w stosunku do przeżutych przez współczesną poezję obrazów. W poszukiwaniu nowych pojęć Kołoniecki zbliżył się do przemilczanej u nas i oboiętnej dotychczas dla poetów „poezji naukowej", która oczywiście jest teoretycznym nonsensem, w praktyce pomnaża jednak bardzo możliwości poetyckie. „Poezja naukowa", obecna w repertuarze Kołonieckiego, przypomina może Ghila i Rimbauda (w pewnej dotychczas jeszcze w Polsce niedocenianej stronie jego twórczości), ale dla nas są to dziedziny tak obce, że mamy wrażenie świeżości „Astronomja", „Chemja", „Filozofia" są mimo swe młodzieńcze przerysowanie najciekawszemi wierszami zbiorku. A nawet te jaskrawe strofy, które przytaczamy poniżej, wyjęte z wiersza „Chemia", — posiadają swoisty wyraz i— powiedziałbym — zapach. Ozonizują powietrze:

Wulkan dudni dudami, jak żelazna huta,
charcząc gęstą posoką — plwociną
czerwoną.
Głob, jak skrzynia gwoździami kraterów
okuta,
Opróżnia z kału magmy napęczniałe łono.

Przez komórek i tkanek wszechświata
budowę
płynie słodowych soków osmoza płodziwa.
czarny lewar w planety — pecherze
głodowe —
pompuje kwaśny zaczyn słonecznego
żniwa.

Równie przyjemny, świeży choć pewnie wczesno-młodzieńczy jest poemacik „Wschody i zachody", posiadający prawdziwy poryw kawalkaty. Z jego po młodemu poplątanych obrazów wieje wiatr takiej swobody uczuciowej autora, do jakiej nie przywykliśmy u debjutantów. Jest w nich również jakiś wiatr — od stepu czy od morza trudno odgadnąć Dziecko Warszawy, jakiem jest Kołoniecki, widać tego wiatru zaczerpnął z Podola, któremu poświeca osobny wiersz, — ciekawy, choć niespokojny.

Zwraca uwagę bogate słownictwo Kołonieckiego. Bez żadnej w tym kierunku przesady czerpie on swe słowa (pojęcia) ze wszystkich dziedzin, zarówno rozczłonkowując właściwie obrazy przyrody jak funkcje człowieka. Słownik rzemieślniczy, słownik naukowy (niestety, czasem nawet słownik „młodopolski") są źródłami gdzie raz po razu zanurza swą garść. *Garść*— powiedziałem, bo Kołoniecki stanowczo nie ma gładkiej dłoni ani neutralnej ręki, tylko szorstką, pracowitą ale ćwiczoną w swem rzemiośle garść.

Forma opanowana. Czasami porywa nawet Kołonieckiego niepotrzebna wirtuozeria, która szkodzi charakterowi jego prymitywnej i całiźnianej poezji. Przed nadużyciem aliteracyj należy przestrzec stanowczo. Aliteracja doskonale brzmi tam, gdzie wiersz nic właściwie nie wyraża prócz pewnej muzycznej treści (Balmont). U Kołonieckiego każde słowo niesie pojęcie, z którem czytelnik (oczywiście słuchacz) nie jest oswojony, które go męczy mnóstwem asocjacyj. W takich razach aliteracja przeszkadza, staje się nie do zniesienia, gdyż łamie treść wiersza niepotrzebna, natrętną muzyką.

Ciekawym problematem jest dalszy rozwój Kołonieckiego. Zdobywa się on w swoim tomie na trzy tony. Pierwszy — to „Chemja", „Astronomja" i t. d. Drugi— to młodzieńczy pogwar wiersza „Wschody i zachody" lub „Odpoczynek". Trzeci — to realistyczny „Węgiel" lub „Zatopiona Wenecja". Każdy z nich może dać nieskończoną moc warjacyj i odsłonić nowe perspektywy. Dla mnie najciekawsza będzie przyszła książka Kołonieckiego — pisana prozą.

Jarosław Iwaszkiewicz.

Redakcja „Wiadomości Literackich" zawiadamia czytelników, że nie zwraca drobnych rękopisów, odpowiedzi udziela tylko w rubryce „Korespondencja". Na odpowiedzi listowne należy dołączać znaczki pocztowe.

Dr. BOGUMIŁ WYDRA
PRAKTYCZNA NAUKA JĘZYKA CZESKIEGO
Gramatyka-rozmowy-słowniczek-wzory
WARSZAWA, NAKŁAD J. BURIANA, 1927
CENA ZŁ. 3.50

Poezje
Włodzimierza Słobodnika
„MODLITWA O SŁOWO"
zł. 1.50

„KRÓL AGIS" W TEATRZE NARODOWYM

Teatr Narodowy: „Król Agis", dramat w 3 aktach *Juljusza Słowackiego;* reżyserja *Emila Chaberskiego,* dekoracje i kostjumy *Wincentego Drabika,* muzyka *Adama Dołżyckiego.*

Nie wdając się w ocenę samego faktu zlepienia szczątków nieskończonego utworu, nie wyrażając zastrzeżenia co do pożytku tych belletrkich eksperymentów, — omówić pragniemy samo wystawienie „Króla Agisa".

Teatr Narodowy zademonstrował raz jeszcze zupełny brak rzetelności i poziomu. Nie pomogły próby podrobienia scen z „Achilleis", ani naśladownictwa dekoracyj Pronaszków, ani podpatrzone u Schillera efekty zbiorowe. Znamienne jest, iż wszystko to, co było tak do niedawna zwalczane przez nudziarzy i rutyniatów z Teatru Narodowego, obecnie stało się dla nich modnym, pożądanym towarem. Ubodzy w inwencję i mało kulturalni kierownicy tej sceny dali nam karykaturę współczesnej, modernistycznej inscenizacji, nieudane naśladownictwo widowisk, przedwczoraj jeszcze okrzyczanych za „bolszewizm" i „futuryzm". (Te dwa wyrażenia, ulubione przez kucharki i dyrektorów teatru, należałoby wreszcie wycofać z obiegu).

Chór, podzielony na girls'y i starców w krótkich majtkach, mówił urzędowym, przepisowym, znanym i zarejestrowanym tonem zawodzenia, płaczliwo-nosowym głosem, stosowanym w sztukach fantastycznych przez wszelkiego rodzaju duchy. Aktorzy, nie rozumiejąc ani treści ani tekstu, nauczyli się na pamięć tej mowy tajemnej, wygrywając cały swój zapał w pojedyńczych zrozumiałych im słowach. Zwłaszcza wszystkie „burze", „gromy" i „pioruny" cieszyły się powodzeniem. Utalentowana aktorka p. *Broniszówna* w roli Archidamji, ubrana jak archimandryta, wyła jak arcysaksofon.

Na środku rynku *Drabik* wystawił przeraźliwie wychudły pomnik rycerza. Zdaje się, iż miał to być Don Kichot w przeróbce Miłaszewskiego. Jedyna względnie udana była dekoracja ostatniego obrazu, przedstawiająca więzienie. Dekorację zbudowano monstrualnej wielkości, tak iż p. *Rotterowa* mogła się zmieścić cała na scenie bez skrótów.

Pan *Chmieliński,* który miał kreować króla Aratusa, pomylił się i zagrał Felicjana Dulskiego, i przyznać trzeba, iż zagrał świetnie. Ani cienia sztuczności czy jakiegokolwiek patosu: stworzył wstrząsającą kreację biednego, zahukanego starowiny, przebranego w stary szlafrok żony. Jest to jedna z jego najlepszych ról, i szkoda tylko, iż partnerzy niezorjentowali się w sytuacji i grali dalej „Króla Agisa".

Jedynie *Węgrzyn* próbował, ale wypadł szybko z roli Tuśki, zagrał przez chwilę Edypa i kropnął parę akcentów z „Faryzeuszy". Węgrzyn w krótkiej sukience, w rudej peruce à la garçonne, kokietował ładnemi nóżkami w jedwabnych pończoszkach i wcale jeszcze ponętnym biustem.

Zelwerowicz w roli Agezylausza mógłby przestraszyć Garkowienkę. Jest to tęgi aktor, tęgi reżyser, lecz przedewszystkiem tęgi człowiek. Jeżeli chodzi o odpowiednią dla niego rolę, mógłbym polecić mu punkt-roller. Gdyby upierał się przy rolach antycznych, polecam „Maraton" (trasa czterdzieści dwa kilometry, co drugi dzień tam i z powrotem).

Śmieszne byłoby krytykowanie warunków zewnętrznych dekoratora, inspicjenta lub dyrektora teatru, gdyż ci ludzie na scenie nie pokazują się, — można więc tylko prywatnie wzdychać nad ich wyglądem, ale od aktorów wymagać możemy pewnego umiaru.

Smutne, nudne i długie przedstawienie „Króla Agisa" nie było potrzebne nikomu prócz p. Lorentowicza, który chciał wykazać się dbałością o literaturę. Ale ponieważ smutny, nudny i długi p. Lorentowicz również nie jest nikomu potrzebny, można było „Agisa" zostawić w książce, a Lorentowicza w Pabjanicach.

as.

Kronika tygodniowa

Zbiórka na owies. — Ofiary publiczne. — Coby dali ludzie prywatni? — Czy ofiarodawca zginie? — Gotujcie na gazie. — My, czy zupa szczawiowa? — Zielona śledziona. — Trzeba pić. — Gazy łzawiące.— Beksa. — Postrzał w brzuch — cena zł. 2.50. — Chodzi o termin. — Wóda jest wszędzie.

Co pewien czas wśród pięćdziesięciu dwu zwyczajnych normalnych tygodni zdarzają się u nas tygodnie specjalne. Obecnie mamy tydzień walki gazowej. Gazy trujące są taką samą bronią na wojnie jak armaty, karabiny, bagnety i rewolwery. Czemużby nie urządzić specjalnego tygodnia ze zbiórką na naboje rewolwerowe, ze zbiórką na owies dla koni wojskowych, tydzień składek na ostrzenie bagnetów? Myślę, iż jest to pierwszorzędna idea. W budżecie wojennym prawdopodobnie niema pozycji gazów trujących, jeśli trzeba uciekać się w tej sprawie do ofiarności publicznej. Należałoby więc skasować we wszystkich krajach budżety wojenne i wogóle sprawę zbrojeń pozostawić ofiarności prywatnej obywateli. Wtedy okazałoby się, że Niemcy na budowę tanków gotowe są ofiarować trzydzieści goldmarek i piętnaście fenigów, a Francja na flotę wojenną przeznacza piętnaście franków i trzydzieści centimów.

Próżnobyście tłumaczyli, że to dla ich dobra prowadzi się wojnę, że jeśli zginie w przyszłej wojnie piętnaście miljonów, — to przecież niekoniecznie musi zginąć ofiarodawca, a gdyby nawet zginął, to też dla własnego dobra. Ludzie, zwyczajni obywatele, przeciętni mieszkańcy, wcale nie rwą się do wzajemnego duszenia się gazami. Mają wiele innych przyjemniejszych zajęć, znacznie tańszych i pożyteczniejszych.

Jak dotąd, widywało się afisze z okrzykami „Gotujcie na gaziel" oraz anonse o „Pokazach gotowania na gazie". Tyczyło się to jednak gotowania potraw, jarzyn, jajek i zupy szczawiowej — obecnie chodzi o nas: — to my mamy być duszeni w rondelku, i to bez cebulki, i wolno gotowani na gazach piekielnych.

Kiedy chce postraszyć się pijaków, że im spuchnie wątroba, robi się wielkie kolorowe afisze ze ślicznie namalowaną bronzową wątrobą i zieloną powiększoną śledzioną. Pijak, przekonany i zastraszony (mało jest coprawda takich), ma do wyboru albo pić dalej, albo mieć chorą wątrobę, — ale cóż ma zrobić obywatel straszony napisami: „Zginiesz śmiercią okrutną", „Zostaniesz uduszony", „Umrzesz w męczarniach". Powinien właściwie zacząć pić i mieć spuchniętą wątrobę, bo nie ma żadnej rady: życie jest marne, wóda — dobra rzecz, więc trzeba wypić możliwie najwięcej nim przyjdą i uduszą albo ugotują na gazie. Zdrowa wątroba niewiele na to pomoże. Ja sam pod wpływem tygodnia gazowego byłem parę razy na wódce czyli pod gazem, jak to mówią fachowcy.

Na afiszach reklamujących pokaz wojny gazowej zastanawia mnie wzmianka końcowa: „Na żądanie publiczność może doświadczyć działania gazów łzawiących. Wejście jeden złoty. Dzieci i żołnierze połowę". Bardzo wygodna instalacja. Można za głupią złotówkę popłakać sobie dowoli. Zwłaszcza ma to praktyczne znaczenie dla ludzi, którzy nie wiedzą co to jest płacz, nigdy dotąd nie płakali i chcą sobie raz spróbować. W razie wojny będą już umieli. Cena jest bardzo demokratyczna: nawet bezrobotni, nędzarze stolicy, głodujący inteligenci, wszystkie obdartusy, łaziki, mieszkańcy „cyrków" i innych domów noclegowych, mogą za tę cenę popłakać.

Gazy łzawiące — to miły i niewinny sposób prowadzenia wojny. Gdyby skasować wszelką inną broń, tasaki, mitraljezy, tanki, armaty i wszystkie gazy trujące, — wojna przypominałaby nam czasy dziecięce: kto się pierwszy rozpłacze, ten przegrał. Naród przegrany nazywałoby się beksą przez parę stuleci aż do nowej okazji.

Pokaz gazów łzawiących — to jeszcze mało. Należałoby pokazać działanie innych gazów: oślepiających, duszących, raniących. Możnaby też za dwa złote pokazać postrzał w brzuch, za dwa pięćdziesiąt amputację nogi, trepanację czaszki i na dodatek za darmo przestrzelenie płuca. Takie pokazy stworzyłyby atmosferę spokoju i zaufania. Każdy wiedziałby co go ma spotkać i mógłby pić wódkę nie troszcząc się o nic, nawet o rachunek.

Sprawa wytrucia ludności cywilnej powinna jednak mieć swój termin. Skazanego na śmierć uprzedza się, że wyrok będzie wykonany — zrozumiałą jest więc rzeczą, iż mieszkańcy Francji, Niemiec, Włoch, Anglji i Ameryki, czyli t. zw. krajów cywilizowanych, mogą powiedzieć pewnego pięknego poranku: „Dobrze, dajemy pieniądze na gazy, damy jeszcze więcej, ale chcemy wiedzieć, kiedy to nastąpi. Prosimy o wyznaczenie dokładne dnia i godziny, a postaramy się, żeby nas wtedy nie było w domu. Niech zostaną ci, którym to sprawia przyjemność, — my przeniesiemy się do krajów mniej kulturalnych, gdzie nie straszą gazami i mają równie dobrą wódkę".

Antoni Słonimski.

POLSKA ZAGRANICĄ

— Jako t. XVII cyklu „Menschen, Völker, Zeiten" (nakład Paula Franke w Wiesbadenie) ukazała się wielka, ilustrowana monografja Ottona Forst-Battaglii o Stanisławie Auguście. W cyklu tym pojawiły się poprzednio biografje następujących postaci: Homer, von Stein, Machiavelli, Robespierre, Lincoln, Paracelsus, Fryderyk Wielki, Leibniz, Juljusz Cezar, Aretino, Torquemada, Rembrandt, Wallenstein, Byron, Albertus Magnus, Richelieu.

— Henri Pourrat drukuje we wrześniowym zeszycie „La Nouvelle Revue Française" obszerną recenzję z francuskiego przekładu „Chłopów". Recenzent podnosi doskonałą konstrukcję dzieła, którą przyrównywa do mechanizmu zegarowego. Powieść Reymonta — to prawdziwa epopea, jedyne naprawdę wielkie dzieło o chłopach. Na uwagę zasługuje zestawienie Reymonta z Wyspiańskim.

— T. E. R. umieszcza w „Prager Presse" z dn. 29 września b. r. recenzję z książki Boya-Żeleńskiego „W Sorbonie i gdzieindziej".

— A. K. umieszcza w „Prager Presse" z dn. 30 września b. r. notatkę o zamierzonem otwarciu sceny kameralnej w Łodzi.

Przegląd prasy

AKADEMJA

Sprawa akademji zajmuje coraz więcej miejsca w prasie. Ostatnio w barwach „Kurjera Warszawskiego" (nr. 270, „Polska akademja literatury") zabiera głos p. *Zygmunt Kisielewski,* uzasadniając potrzebę akademji, ale już dzisiaj przewidując, że jej „realny program będzie się urabiał zwolna". Aż nadto, niestety, uzasadniony pesymizm! — „Głos Prawdy" (nr. 270) referuje opinje różnych literatów, konkludując: „Cenna będzie w życiu literackiem żywotna akademja, śmieszna i niepotrzebna — martwa". — O pomoc dla młodych autorów występuje *Literat* w nr. 264 „Głosu Narodu" („Przeciw akademji literatury polskiej!"): ta pomoc — to najważniejszy postulat polityki literackiej w Polsce, uprzywilejowanie zaś kilkunastu pisarzy wywoła jedynie „zazdrość, swary, polemikę". — Artykuł Irzykowskiego „Królewski łachman" drukowany w nr. 194 „Wiadomości", z pełną aprobatą cytuje katowicka „Wirtschaftskorrespondenz für Polen" w nr. 79.

ZAGRANICĄ

„Rozmowa o Verlaine'ie" *J. Zburskiego* („Epoka", nr. 263) ma za treść rozmowę autora z szewcem, mieszkającym naprzeciw domu, w którym umarł poeta. — „Nieznany autograf Conrada" ogłasza *Edward Ligocki* w nr. 434 „Kurjera Poznańskiego". Jest to list pisany w r. 1897 do baronowej Stanisławowej Brunnow, niejako krótkie credo życiowe i literackie wielkiego pisarza: „...przyszłość moja jest zawsze niepewna, gdyż nie jestem autorem *popularnym...* nigdy nie miałem ambicji pisania... dla wszechwładnego pospólstwa. Nie mam przekonania dla demokracji — i demokracja nie ma sympatji w moim kierunku". — *Tatar* umieszcza w nr. 260 „Głosu Polskiego" korespondencję „Henri Barbusse w Moskwie", opis entuzjastycznego przyjęcia pisarza francuskiego, który, jak się zdaje, na widok czerwonej armji i Budiennego gruntownie zapomniał o swoim pacyfizmie.

LITERATURA POLSKA

W nowej „kartce literackiego bilansu" („Więcej słońca", „Kurjer Poznański", nr. 444) *Adam Grzymała-Siedlecki* zastanawia się nad związkiem literatury powojennej z rzeczywistością: według krytyka nowa poezja polska „otrząsa duszę z postulatu nadzwyczajności, nadaje duszom rytm dnia powszedniego". Na zakończenie p. Siedlecki głosi kult przeciętności: twierdzenie, że „ideałem kultury jest takie społeczeństwo, w którymby wszystkie warstwy miały jedną i tą samą lekturę" (nb. po polsku wystarczy powiedzieć „tę samą", „jedną i tę samą" jest błędem), zalatuje — według terminologji obozu prawicowego — niewątpliwie „bolszewizmem". Stąd pretensje do krytyki, że żąda zbyt wysokiego poziomu, i wołanie o „piśmiennictwo popularne". Dalej czytamy: „uczciwa zajmująca książka, uczciwa nieskomplikowana komedja, dramat, piosenka, nowela — to najważniejsze bodaj zadanie dzisiejszej twórczości". Tak przedstawiają się ideały twórcy monografji o Wyspiańskim. Ale zapatrzony w ewolucje własnej produkcji literackiej, która rzeczywiście w szybkiem tempie dostroiła się do wymagań gawiedzi, niepotrzebnie całą literaturę usiłuje zepchnąć na te niezaszczytne tory.

W nr. 270 „Głosu Prawdy" („W walce z „Kwadrygą") *Juljusz Kaden-Bandrowski* odpowiada na zarzuty, postawione mu jako autorowi „Odpowiedzi od redakcji" w dodatku literackim „Głosu" (referowaliśmy je w poprzednim numerze „Wiadomości"). Artykuł, utrzymany w serdecznym, szlachetnym tonie, broni postulatów „rzemiosła" poetyckiego, równie, według Kadena, ważnego jak natchnienie.

„Przegląd Wileński" (nr. 15, „Nasz Mickiewicz!"), biorąc za punkt wyjścia opinje Andrzeja Koźmiana, J. N. Millera i Adolfa Nowaczyńskiego, rewindykuje Mickiewicza jako poetę litewskiego i twierdzi, że „Mickiewicz stał się wieszczem narodowym polskim wskutek jakiegoś nieporozumienia... Dla inteligencji szlacheckiej polskiej mógł być jeszcze Mickiewicz bliski, dla inteligencji, która wyszła z ludu i ze środowisk miejskich w Polsce, Mickiewicz musi być coraz bardziej obcy... Więc nic dziwnego, że Warszawa zaczyna spoglądać coraz zimniej na „posępnego Litwina", i niedaleki może czas, gdy przestanie go całkiem odczuwać i uwielbiać. Tem bardziej będzie wówczas nam drogi, bo będzie nasz i tylko nasz!"

Stanisław Cywiński („Norwid w Krakowie" i „Czasie", „Czas", nr. 219) zajmuje się związkami poety z Krakowem.

W nr. 269 „Ilustrowanego Kurjera Codziennego" rozmowa *St. M.* z Sieroszewskim („Jak Twardowski znowu zamieszka w Krakowie"). Sieroszewski zwierza się z planu swojej nowej powieści o Twardowskim. Ma to być rodzaj „polskiego Fausta": Twardowski walczy tu także z szatanem, lecz szatan jest nie poza nim, ale w nim — na tem polega różnica z Faustem Goethego.

PRETENSJE PANA GRUBIŃSKIEGO

Pan *Wacław Grubiński* („Pan doktór Świątek", „Kurjer Warszawski", nr. 268) kontynuuje polemikę z dramaturgiem Teatru im. Słowackiego, dr. Świątkiem, i wzywa pomocy dyr. Nowakowskiego, magistratu krakowskiego i Związku Autorów Dramatycznych przeciwko pisarzowi, który ośmielił się w kilku słowach trafnie ująć charakter twórczości dramatycznej autora „Księżniczki żydowskiej". Nie spodobało się także p. Grubińskiemu oświadczenie dr. Świątka, iż „chętnie" przeczyta „Furę słomy" p. Kaweckiego, i patetycznie wykrzykuje: „Ech, Zygmuncie, Zygmuncie (Zygmunt — to p. Kawecki, *przyp. red.),* ty się urodziłeś w czepku! P. dr. Świątek twoją komedję, graną drugi miesiąc w warszawskim Teatrze Małym przy wypełnionej sali, przeczyta chętnie. Chętnie! *Chętnie!*" W przekonaniu p. Grubińskiego z chwilą, kiedy jakaś sztuka grana jest „przy wypełnionej sali", niema co się zastanawiać, a sam fakt, że kierownik literacki chce sztukę przeczytać, i to „chętnie", jest zniewagą dla autora. My jesteśmy innego zdania: to np., że „Niewinna grzeszniczka" padła w Paryżu, nie zmieniło naszego przekonania o jej niskiej wartości, tak samo jak nie zmieniłoby naszego przekonania o wysokiej wartości opowiadania „Lwy i św. Grojosnaw" jego najbardziej oszołamiające powodzenie.

SPRAWY FILMOWE

Ciekawy artykuł „Złe" zakończenia w filmie" drukuje *Karol Irzykowski* w nr. nr. 269 — 271 „Robotnika", atakując „kłamstwo filmowe" i „doktrynę o pożytku pedagogicznym optymizmu kinowego", które ujawniają się przedewszystkiem w obrazach amerykańskich: „sprawa wygląda tak, jakby Amerykanin bał się smutku życia... Ich optymizm kinowy jest bardzo podobny do tchórzostwa". Otóż trzeba powiedzieć, że wszystko to ma mizerne znaczenie wychowawcze: sztuka grecka w okresie największego rozkwitu Grecji była wybitnie pesymistyczna; więc „zabobonem estetycznym jest zapatrywanie jakoby sztuka mogła tak bezpośrednio oddziaływać na duszę ludzką, jak pieczątka na lak".

Artykuł Irzykowskiego, zamówiony przez komitet wystawy kinematograficznej dla pogadanki przez radjo, został przez ten sam komitet samowolnie okrojony: usunięto wszystkie ustępy piętnujące podłość artystyczną fabrykantów filmowych. Naprawdę — przesadna gorliwość!

Seweryn Romin („Metropolis", „Głos Prawdy", nr. 270) usiłuje bronić nieudanego filmu „Ufy" i zarzuca Wellsowi „płytkość" w jego surowej ocenie. Posuwa się nawet dalej: apologizuje nudną i niedorzeczną powieść Thei von Harbou, z której Fritz Lang wykroił scenarjusz, i traktuje ją niepotrzebnie jako utwór literacki. Pan Romin mówi w zakończeniu o olbrzymich kosztach tego filmu, o tem, ile zużyto taśmy, w jakich warunkach pracowano i t. d. Tem więcej żałować należy, że wszystko to poszło na marne i że rezultaty nie stoją w żadnej proporcji do takiego wysiłku.

jam.

ANEGDOTY

W jednym z poprzednich numerów podaliśmy anegdotę o Pironie i Marji Antoninie. Anegdota ta w wersji francuskiej brzmi pikantniej. Marja Antonina, uszczypana na schodach przez poetę Pirona, odzywa się:

— Mais Piron...

— Madame, si votre coeur est si dur que votre cul — je suis perdu! — odpowiada Piron.

Na to Marja Antonina:

— Et si votre queue est si dure que votre main — à demain.

*

Służącego Cagliostra spytano, czy prawdą jest, że jego pan ma trzysta lat.

— Nie umiem na to odpowiedzieć, zaledwie od stu lat jestem jego służącym.

*

Hrabia Louis Narbonne czytał Talleyrandowi swoje wiersze na tarasie pałacu. W znacznej odległości stał jakiś jegomość i ziewał.

— Narbonne, — odezwał się Talleyrand, — spójrz tam, wciąż mówisz za głośno.

*

Jeden z wielbicieli Browninga, poety, jak wiadomo, bardzo trudnego, zapytał go kiedyś listownie o znaczenie pewnego niezrozumiałego miejsca. Browning odpowiedział telegraficznie: „Nie wiem, niech się pan dowie w Towarzystwie Browningowskiem".

*

Znany redaktor wiedeński, Max Schlesinger, był ciągle w kłopotach pieniężnych. Kiedyś posyła piccola z zegarkiem do lombardu i sam czeka niecierpliwie na tarasie kawiarni na wynik tranzakcji. W tej chwili zjawia się radca z ministerstwa spraw zagranicznych i przysiada się do stolika. Kiedy piccolo wraca, Schlesinger, zażenowany, licząc na jego inteligencję, woła:

— Co powiedział poseł chiński?

— Poseł chiński powiedział, że więcej niż guldena za zegarek nie da.

Korespondencja

O BIBLJOGRAFJĘ HISTORJI POLSKI

Do redaktora „Wiadomości Literackich"

W związku z ukazaniem się w nr. 196 „Wiadomości Literackich" w rubryce „Z dziedziny bibljografji" wzmianki o bibljografji historji polskiej nowożytnej (kontynuacja Finkla) — proszę o umieszczenie następującego sprostowania.

Ramy chronologiczne bibljografji historji polskiej nowożytnej zostały rozszerzone aż po r. 1915. Bibljografja obejmuje zatem całe stulecie (1815 — 1914), a w opracowaniu uwzględnione będą wszystkie materjały, które ukażą się do chwili wydania pierwszego tomu bibljografji.

Co się zaś tyczy rzekomej pomocy kół historyków uniwersytetów naszych, niestety, dotychczas nie otrzymaliśmy jej wcale.

Na listy nasze, skierowane w tej sprawie bądź bezpośrednio do zarządów kół, bądź za pośrednictwem osób wpływowych, jedynie Kraków i Wilno odpowiedziały przychylnie, dając nam pewne (zresztą wątłe bardzo) nadzieje na bieżący rok akademicki. Poznań odpowiedział przeczająco, zaznaczając, że pracownicy, którzy mogli odpowiedzieć zadaniu, nie rozporządzają już upełnie wolnym czasem, Lwów natomiast nie dał żadnej odpowiedzi.

W Gabinecie Nauk Historycznych pracują zatem nad bibljografją stale dwie tylko osoby, dwie zaś ofiarowują dorywczo pomoc honorową.

Zasiłek na prowadzenie prac bibljograficznych udzielany jest gabinetowi przez wydział bibljotek państwowych ministerstwa oświecenia.

Halina Bachulska.

W SPRAWIE KONKURSU FILMOWEGO

Do redaktora „Wiadomości Literackich"

W związku z listem dr. Stanisława Higiera w sprawie konkursu filmów na wystawie foto-kinematograficznej (nr. 196 „Wiadomości"), komunikuję, że wszystkie szczegóły, podane przez dr. Higiera, a dotyczące tego konkursu, nie odpowiadają prawdzie, a mianowicie:

1) Do konkursu zostały dopuszczone nie przypadkowe filmy, jak twierdzi dr. Higier, lecz wybrane z pośród sześćdziesięciu zgórą najznakomitszych obrazów, których spis skompletowali poszczególni członkowie komitetu kwalifikacyjnego.

2) Decyja w sprawie nagród należy nie do „anonimów z łona wystawy", lecz do członków jury, w którego skład wchodzą: St. Baliński (z wydziału prasowego ministerstwa spraw zagranicznych), prof. W. Drabik, K. Irzykowski, F. An. Osendowski, L. Podhorski-Okołów (z komisji kulturalnej magistratu) oraz wiceprezes Tow. Miłośników Fotografji J. Dorielecki i niżej podpisany z ramienia komitetu organizacyjnego wystawy. Czy komitet ten dla wymagalnego dr. Higiera jest dość neutralny?

3) Medalami i dyplomami są nagradzane same filmy,—dyplomy zaś są wręczane wypożyczalniom, gdyż członkom jury konkursu tyleż zależy na odznaczeniu wytwórni, co na wzbudzeniu szlachetnej rywalizacji pomiędzy biurami wynajmu.

Wreszcie pozwolę sobie zauważyć, że miast używania silnych i patetycznych słówek w rodzaju „anonimy z łona wystawy", „niesmak", „dlaczego, dlaczego?!" i t. p. — byłoby o wiele odpowiedniej ze strony dr. Higiera, gdyby zwrócił się po informacje do źródła. Oczywista, uwzględniając, że dr. Higier jest człowiekiem nie czytującym gazet ani nie uznającym radja, gdyż wszystkie zawarte tu informacje były nieskończoną ilość razy podawane publiczności bądź przez prasę, bądź też w komunikatach „Polskiego Radja".

Anatol Stern.

*

F. M. Adresów tych nie znamy.

Autor listu w sprawie gen. Zagórskiego. Oczywiście, ma Szanowny Pan rację; było to tylko niezręczne wyrażenie.

Borkman. Szkoła (Okólnik 1) udzieli wszelkich informacyj.

I. G. W. Z artykułu o Isadorze Duncan nie skorzystamy.

E. C. Z nadesłanych wierszy jeszcze nie skorzystamy.

H. W. we Lwowie. Dziękujemy.

Początkujący w Pabjanicach. Słabe.

Tydzień bibljograficzny

rejestruje całkowitą produkcję wydawniczą następujących firm: H. Altenberg, M. Gebethner i Wolff, F. Hoesick, W. Jakowicki, Krakowska Spółka Wydawnicza, Arct, „Bibljoteka Polska", Ludwik Chomiński, Wacław Czarski i S-ka, „Czytaj", Książnica - Atlas, Jakób Mortkowicz, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Bernard Połoniecki, „Renaissance", „Rój", Trzaska, Evert i Michalski, Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy

BIBLJOGRAFJA, ENCYKLOPEDJE

Ilustrowana encyklopedja Trzaski, Everta i Michalskiego pod redakcją d-ra *Stanisława Lama.* Zeszyty 32 — 40. Ner—Pre. Warszawa, Trzaska, Evert i Michalski, 1927; szp. 769 — 1056 i 1 — 576 i tabl. 11. Zł. 6.50 za zeszyt. — Szereg interesujących tablic dotyczy następujących przedmiotów: owoce, flagi, monety, mosty, pieniądz zastępczy, prehistorja, Warszawa, rośliny użytkowe.

POWIEŚĆ, NOWELA

Beecher-Stove. Chata wuja Toma. Powieść z czasów niewolnictwa Murzynów w Ameryce. Tłumaczył *A. Wolf.* Warszawa, „Rój", 1927; str. 137 i 7nl. (I), 142 i 2nl. i tabl. 4 (II). Zł. 1.95. — Wydanie zdobią zdjęcia z osnutego na powieści filmu, z Jamesem Lowe w roli głównej.

Edgar Rice Burroughs. Księżniczka na Marsie. Powieść. Okładkę rysował *Edmund John.* Warszawa, Trzaska, Evert i Michalski, (1927); str. 4nl. i 212. Zł. 5.40. — Powieść fantastyczna; rzecz dzieje się na Marsie.

Maurice Dekobra. Gdy będziesz kurtyzaną... Podręcznik dla początkujących dam kameljowych. Przełożył *Heljos.* Kraków, „Panteon", (1927); str. 131 i 1nl. Zł. 4.— Książka składa się z następujących rozdziałów: „Uwagi wstępne o miłości", „Instalacja kurtyzany", „Strategja kurtyzany", „Zasady psychologji męskiej", „Wtajemniczenie w sztukę miłości sprzedajnej", „Cztery opowiadania z życia kurtyzan".

Bibljoteka Powieściowa. Redaktor *Marjan Kister.* Nr. 517. *Henri Duvernois.* Eunuch. Przekład *Stefanji Podhorskiej-Okołów.* Okładka projektu *S. Norblina.* Warszawa, „Rój", 1927; str. 179 i 1nl. Zł. 1.25. — Na tom składają się następujące utwory: „Eunuch", „Służebnica", „Wróbelek", „Pan Fryderyk".

Ilja Erenburg. Wydanie zbiorowe. Tom V. Walet dzwonkowy i s-ka. Przełożyli *M. Grabowska* i *Fredani.* (Okładka *T.Gronowskiego).* — Tom VI. Lato r. 1925. Przełożyła *Marja Kuncewiczowa.* Warszawa, „Rój", 1927; str. 137 i 7nl. (V), 191 i 1nl. (I). Zł. 4.50 i 4.80. — Tom nowel i powieść.

Claude Farrère. Ostatni bóg. Powieść. Przekład *Kazimierza Bukowskiego.* Warszawa, „Rój", 1928; str. 2nl. i 206 i 6nl. Zł. 7. — Pięć ksiąg: „Uczucia", „Wrażenia", „Szały", „Drobne pana de Turenne", „Modlitwa na Akropolisie".

Bibljoteka Powieściowa. Redaktor *Marjan Kister.* Nr. 516. *O. Henry.* Romans na promie. Przeł. *A. W.* Warszawa, „Rój", 1927; str. 125 i 3nl. Zł. 0.95. — Szereg opowiadań: „Miłość na promie", „Brzoskwinia", „Tradycja", „Sobole rosyjskie", „Szecherezada z Madison-Square", „Poborca daniny", „Sen letni", „Odmienne zapatrywania", „Społeczny trójkąt", „Spowiedź dziesięciodolarowego bankrotu", „Samozwańczy policjant", „Zgubiona recepta", „Płonąca pochodnia", „Techniczny błąd".

Bibljoteka Powieściowa. Redaktor *Marjan Kister.* Nr. 518. *P. N. Krasnow.* Amazonka Azji. Powieść. (Okładka *S. Norblina).* Warszawa, „Rój", 1927; str. 207 i 1nl. Zł. 1.45. — Popularna powieść na tle walk w Azji.

Kornel Makuszyński. Awantury arabskie. Warszawa Gebethner i Wolff, 1927; str. 220 i 4nl. Zł. 5. — Jedna z najlepszych książek Makuszyńskiego, zawierająca następujące utwory: „Ósma podróż żeglarza Sindbada", „O szlachetnej dziewicy i koniu", „Morderstwo Harun Al. Raszyda", „Hassan i jego pięć żon", „Mędrzec z za morza", „Ostatni centaur", „Z nowych dni. „Złotowłosa dziewczynka".

Zofja Nałkowska. Romans Teresy Hennert. Wydanie drugie. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1927; str. 229 i 3nl. Zł. 5.— W powieści tej autorka zawarła przenikliwy obraz Polski powojennej.

Marcin Andersen Nexö. Ditta. Powieść w pięciu częściach. II. Nad morzem. Przełożył *Józef Mondschein.* (Okładka *E. J.).* Warszawa, Trzaska, Ewert i Michalski, (1927); str. 167 i 1nl. Zł. 5.40. — Dalszy ciąg „Ditty".

Anna Limprechtówna (Orsyd). Gwiazda w kałuży. (Okładka *S. Norblina).* Warszawa, „Rój", 1927; str. 131 i 1nl. Zł. 0.95. — Powieść współczesna.

Ernest Pascal. Córka szatana. Tłumaczyła *Halina Zasztowtowa.* Warszawa, „Rój", 1927; str. 100 i 4nl. Zł. 0.95. — Rolę tytułową w filmie osnutym na tej powieści odtworzyła Billie Dove.

Henryk Sienkiewicz. Quo vadis? Ósme wydanie popularne. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1927; str. 371 i 1nl. Zł. 6. — Tanie wydanie w dużym formacie.

Maciej Wierzbicki. Wielka gra. Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1927; str. 307 i 1nl. Zł. 6. — Powieść współczesna.

Największa hurtownia księgarska
W POLSCE
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ
Sp. Akc.
WARSZAWA, Plac Trzech Krzyży 8
Przyjmuje na skład główny wszelkie wydawnictwa polskie księgarskie, rządowe i prywatne i rozsyła je w komis do księgarzy w całej Polsce.
WYDAJE PISMO REKLAMOWE
KURJER KSIĘGARSKI

PRENUMERATA z przesyłką zł. 9.— kwartalnie, zagranicą 2 dol. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm. szerokości 1 szpalty 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście. Kolumna posiada 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota nr. 8 m. 5, tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Boduena 1, m. 2, tel. 223-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—18, w sobotę od godz. 9—13. Konto pocztowe nr. 8515.

Odbito w drukarni „Rola" J. Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11
Klisze cynkografji „W. Główczewski", Chmielna 18

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI